



**N<sup>o</sup> 46.**

Prenumerata w Warszawie  
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 11 listopada 1876 r.

Prenumerata  
na prowincyi i w cesarstwie  
kwartalnie rs. 3.

**Tom II.**

**Treść numeru.** Dobicie targu (drzeworyt).—Kronika tygodniowa. — Odpowiedź Gołosowi. — Odpoczynek (z drzeworytem). — Przegląd polityki zagranicznej. — Od redakcyi. — Korespondencya od redakcyi. — Scena ostatnia aktu trzeciego „Emigracyi chłopskiej“ (drzeworyt). — Pojdynek szlachejnych, komedya (dalszy ciąg). — Ogrody zoologiczne Europy. — Żydowską bryką (drzeworyt). — Rebus. — Listy ze stolicy Węgier. — Listy z wystawy filadelfijskiej (dalszy ciąg). — Z widowni wojny (drzeworyt). — Ostatni dzień Pompeji (drzeworyt). — Szewkie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).



**Dobicie targu.** Rysunek E. M. Andriolli'ego.

## Kronika tygodniowa.

K r a j o w a.

Zeszłej niedzieli, o godzinie 10-tej rano, otwartą została wystawa przemysłowo-rolnicza, przy muzeum przemysłowców za staraniem komitetu jego urządzona. Przy otwarciu obecnym był główny Naczelnik kraju, hrabia Kotzebue, który raczył obejrzeć wszystko szczegółowo, poczem dostęp wolny dla publiczności, za nader umiarkowaną opłatą, zgromadził odwiedzających w liczbie stosunkowo bardzo wielkiej, gdy istotnie lokal wystawy zanadto jest szczupły.

Szczegółów przytaczać tu nie będziemy: opis bowiem wystawy obecnej, o ile można drobnotkomy, czytelnicy znajdą w następnym numerze naszego pisma. W tej chwili notujemy tylko fakt samego otwarcia wystawy, która oby stała się dobrym początkiem dla tego rodzaju usiłowań w przyszłości. Godzi się też zapisać w kronice, iż liczba wystawców nie odpowiada tym razem oczekiwaniom wszystkich tych, którzy rozumieją cel wystaw i pożytek ich dla przemysłu krajowego. Okazów bardzo niewiele nagromadzono w pięciu nie salach, ale... pokojach zaledwie, a chociaż okazy te są niezaprzeczenie wyborowe i chlubnie bardzo świadczą o warstatach i fabrykach z których wyszły, przecie wszystko to wygląda zbyt miniaturowo i o ogóle przemysłu naszego świadczyć nie może. Prawda że wystawa obecna, obok nasion, urządzona jest tylko dla wyrobów skórzaných i metalowych; ale i na tym polu mogliśmy się zdobyć na coś bardziej pokaznego. Idzie nam tu o liczbę, nie o wartość, bo co do wartości, wystawa nasza obecna sięga dość wysoko.

Zanim nasz sprawozdawca muzyczny oceni artystyczne znaczenie odbytego we wtorek koncertu p. Barcewicza, czujemy się w obowiązku zanotować dokonany fakt występu tego dzielnego skrzypka po powrocie z Moskwy, gdzie p. Barcewicz kończył swoje artystyczne studia.

Jak grał artysta, jak piękne złożył świadectwo o dotychczasowej pracy, jak świetnie wywiązał się z trudnych zadań dobranego programu — o tym dowiedzie się ze sprawozdania szczegółowego; my tymczasem zapisujemy tu okoliczność znaczącą, że na koncert artysty, którego karyera żywo nas interesować powinna, na koncert w którym udział przyjął p. Jakowicka, publiczność nie zebrała się licznie i ograniczyła się do dobranego kółka znawców, których muzyka obchodzi nie już tylko jako lubowników, ale jako interesujących się nią bezpośrednio.

Czém tłumaczyć taką obojętność publiki... arcy-muzycznej, za jaką uważa się sama?.. Dłaczego ta sama publika gromadzi się w zbitym tłum na lada występ mierniej śpiewaczki w Towarzystwie muzycznym i piątkowe czy srołowe wieczory tego Towarzystwa wypełnia co do ostatniego miejsca?..

Nam się zdaje, że wielką rolę gra pod tym względem taniość biletów wejścia, nie zaś muzykalność, którą w siebie najniepotrzebniej wmawiamy. Za dwadzieścia pięć kopiejek stać nas na koncert, ale gdy przyjdzie płacić dwa ruble, a choćby i rubla, to rzecz inna.

Nie jest to więc winą naszą, ale naszej kieszeni, z którą liczyć się musimy. Czemuż się z nią liczyć nie chcą artyści, którzy, ufając w urok sztuki i imion swoich, doznają najsmutniejszych nieraz zawodów?..

I to prawda, że koncert ze współudziałem orkiestry kosztuje u nas grubo; że kosztów jego dwudziestopięć-kopiejkowe bilety na żaden sposób nie opłaca; ależ trzeba szukać odpowiedniego *modus vivendi*, co bynajmniej do publiki nie należy. Nam się zdaje, że należy to nade wszystko do Towarzystwa muzycznego, które artystom w ich koncertach bezwarunkowo przychodzić winno z pomocą.

Teatrzyk Towarzystwa dobroczynności przybierze nową weale postać. Jego szczupła scenka rozszerzy się i powiększy, salka stanie się salą, liczba miejsc wzrośnie, a nawet kurtyna i dekoracje wyjdą z pierwotnej prostoty, aby stanąć na równi z wymogami ukształconego smaku.

I słusznie się bardzo stanie. Teatrzyk ten jest ulubieńcem naszej publiki, a szczególnie teraz, gdy współdziałanie jego w gromadzeniu fundusów dla ubogich niezbędnie stanie się potrzebnym, może on liczyć na większą jeszcze sympatją i szerszą publiczność.

Nie wiemy jak stoi kwestya trzeciego teatru w chwili obecnej, ale wiemy to, że w teatrzyku Dobroczynności nie zbraknie nigdy publiki, ile razy odpowiednio urządzone przedstawienie zainteresować ją potrafi. Na takich przedstawieniach Towarzystwo niezły grosz zarabiać może, a im one będą częstsze, tym i grosz ów pewniejszy.

W zwykłej dorocznej seryi odczytów na korzyść Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, około urzędzenia których komitet Towarzystwa już teraz się krząta, pojawić się ma w przyszłym poście nowość ciekawa bardzo i ponętna. Pan *Syggurd Wiśniowski*, znany podróżnik nasz po Australii i Ameryce, od niedawna bawiący między nami, wystąpi z publiczną pogadanką o przemysłowych, społecznych i politycznych zasobach i właściwościach Stanów Zjednoczonych, tej krajiny błogosławionej, w której praca i wytrwałość ludzka tyle już dokonała cudów, a o której u nas najsprzeczniejsze krążą wiadomości, zaczerpnięte często ze źródeł niezbyt wiarygodnych.

Odczyt, czy odczyty (bo prawdopodobnie zbierze się na kilka) p. Wiśniowskiego tę wielką mić będą zaletę, że prelegent zna Amerykę nie z przelotnego rzutu oka turysty, lecz z długoletniego pobytu, z czynnego udziału, jaki brał obojętność, z którą p. W. do każdej przystępuje pracy, dar bystrego spostrzegania i umiejętność oblekania tych spostrzeżeń w formę powabnego słowa, dają nam zgóry rękojmię, że pogadanka jego będzie zarazem i pouczającą, i zajmującą. Szczerze też Towarzystwu osad rolnych nabytku tego powinszować możemy.

Pożyteczne i bardzo praktyczne wydawnictwo przeprowadziła świeżo redakcyja Gazety polskiej, wydrukowawszy pod ogólnym tytułem: „Ustawy sądowe, obowiązujące w królestwie polskim“ piętnaście książeczek, większej i mniejszej objętości, w których skrócone i objaśnione są szczegółowo przepisy dotyczące sądów pokoju, sądów gminnych i sądów zjazdowych. Wobec reorganizacji nowoprowadzonej, powołującej z wyborów na posady sądowe, w instancyach pokojowo-gminnych, osoby częstokroć nieposiadające żadnego wykształcenia specjalnego, wydawnictwo to wielką oddaje przysługę zarówno sędziom i ławnikom, jak stronom samym, zupełnie prawie dotąd z nowymi przepisami nieobeznany, ku czemu wkład jego, umiejętny i przystępny, bardzo także się przyczynia. W ostatnich trzech książeczkach, najobszerniejszych i najważniejszych, bo obejmujących ustawy o karach wymierzanych przez sądy pokoju i sądy gminne, dołączone wkońcu spisy przedmiotów ułatwiają wielce orientowanie się w tak różnorodnym z natury swojej materiale. Cena całego zbioru, mogącego stanowić dwa spore tomy w ósemce, wynosi rs. 3 kop. 35.

Otrzymałmy z Płocka list następujący

*Szanowny panie redaktorze!*

Z prawdziwą przyjemnością spotkałem w n-rze 43 Tygodnika Ilustrowanego z b. roku artykuł o ornatach gobelinowych płockich i rysunek jednego z nich.

Rozprawka p. Sobieszczańskiego, napisana

z właściwą wszystkim pracom tego uczonego badacza erudycją, nadaje drobnej mojej wzmiance wyższe i donioślejsze znaczenie. Widać jednak że szanowny autor nie miał czasu na dokładne przejrzanie słów moich w Korespondencie Płockim zamieszczonych, a ztamtąd w 134 n-rze „Wieku“ przedrukowanych, co spowodowało w jego opisie pewne niedokładności, które zechciej pan uprzejmie w swoim piśmie jaknajrychlej sprostować. I tak:

1° Nie byłem i nie jestem regensem seminarjum płockiego, lecz jego profesorem.

2° Nie byłem nigdy we Francyi, a więc i fabryk gobelinowych widzieć w niej nie mogłem, i dlatego też w moich artykułach o tem wzmianki niema. Bronię się tylko przeciwko zarzutowi, iż rzeczony ornaty „uważane są w Płocku za gobelinowe“, a w rzeczy samej takimi nie są, wspomina „że w Płocku znajdują się osoby, które potrafią odróżnić włóczkową robotę od gobelinów, ponieważ widziały ich wiele w Paryżu i po innych miastach Europy, naocznie rozpatrując i podziwiając ich fabrykacyą.“

3° Nikt mnie nie zapewniał „jakoby fabryka gobelinów istotnie założoną była w Warszawie na początku XVIII stulecia.“ Zresztą wiadomo mi dobrze, iż w takich razach nie można polegać na zapewnieniu, ale trzeba zacytować dowód. Gdybym go miał, byłbym się nim z publicznością podzielił; że zaś innego, oprócz wspomnianego ornatu, nie miałem i nie mam, przeto powołując się jedynie na słowa napisu „fait à Varsovie“, nadmieniam że „napis ten wyrobiony w samej tkalinie, zdaje się być wyraźnym dowodem, iż w r. 1745 mieliśmy fabrykę gobelinów w Warszawie.“

Takie sprostowanie przyczyni się do postawienia na właściwem stanowisku kwestyi, której wywołanie i jaknajwiększe dla dobra nauki rozjaśnienie jest jedynym celem słów moich.

*Ks. Antoni Brykozynski.*

profesor seminarjum w Płocku.

### Z a g r a n i c z n a.

Dziesiąty rok istnienia „czytelnia akademickiej“ w Krakowie, jak dowiadujemy się z nadesłanego nam sprawozdania jej zarządu, pod każdym względem był jednym z najpomysłniejszych. Obojętność, lub nawet niechęć, pewnej części młodzieży względem czytelni szczęśliwie została przełamana, skutkiem czego liczba członków wzrosła do 300 blisko. Z prac odczytanych na zebraniach literackich, komisya wybrana z łona walnego zgromadzenia, uwieńczyła rozprawę historyczną p. Jana Mycińskiego nagrodą. Do zbiorów czytelni zakupiono popiersie ś. p. Kremiera i medalion ś. p. Libelta, których odsłonięcie uroczyste było obchodzone. Bibliotekę zubożoną zakupem lub otrzymaniem w darze dzieł zbiorowych: Dzierżkowskiego, Kaczkowskiego, Korzeniowskiego, Lenartowicza, Libelta, Szajnochy, z obcych zaś: Goethego, Lessinga, Schillera i Wielanda, oraz kilkunastu dzieł osobnych, razem w 169 tomach. Pism czasowych, krajowych i zagranicznych, czytelnia odbierała ogółem 106, po większej części bezpłatnie, albo po cenie niższej. Kuratorem czytelni jest prof. F. Kasperek, przewodniczącym M. Śliwiński, zastępcą jego L. Boroński, sekretarzem L. Mendelsburg, podskarbisem A. Gluziński.

Taki jest stan zakładu, utworzonego staraniem zacnej młodzieży, a podtrzymywanego społeczeństwem powszechnym — zakładu na intencją którego szczerem sercem powtarzamy słowa sprawozdania:

„vivat, floreat, crescat!“

*Golos*, dziennik petersburski, w n-rze 291 zamieścił następujący artykuł:

„Nieprawdopodobne wieści dochodzą nas z kraju nadwiślańskiego, z Warszawy. Są one tak niedorzeczne, że długi czas nie dawaliśmy im wiary i nie uważaliśmy za potrzebne dotykać ich za pośrednictwem druku. Bez względu jednak że pogłoski owe wskazywały fakt niemożliwy, szalony

poprostu, wiadomości o nim przychodzą ciągle i z różnych stron, wieść wzmacnia się i rozszerza, i pojawiają się już wskazówki, mogące służyć poniekąd za potwierdzenie jego słuszności. Bywają wieści tego rodzaju, że mileżenie o nich jest występkiem... Mówią, że w Warszawie pojawił się w ostatnich czasach ruch szkodliwy interesom cesarstwa; dodają że ruch ten ogarnął jakoby eksploatacyą kolei żelaznych nadwiślańskiego kraju i rozciągnął się nawet po za granice jego, na najważniejsze linie naszej kolejowej sieci. Na dowód tych nieprawdopodobnych wieści, cytują jakoby już istniejące rozporządzenie: ażeby natychmiast wydalic ze służby kolejowej wszystkich oficyalistów pochodzenia polskiego; mówią że rozkaz ten dotyczy wszystkich linii bez wyjątku.

„Czyż to prawda? Czyż ludzie polskiego pochodzenia, korzystając z tego, że przypuszczono ich do ruskiej rodziny. zdolni są w obecnej uroczystej chwili naruszyć spokój i ściągnąć na siebie uieublagane, nie i nikogo nie szcędzące kary ruskiego społeczeństwa? Nie może być! Powtarzamy tę pogłoskę, jako pogłoskę, i z niecierpliwością oczekujemy na zabicie jej.“

Jest to znowu jedna z tych potwarczonych insynuacyj, które odznaczać się zwykła od tak dawna redakcyą *Golosa*. Wprawdzie *Golos* ubiera ją w sukienkę wątpliwości, krasi znakami zapytania, nie chce niby wierzyć temu, co sam donosi. Znana jest dobrze ta forma, używana przez wszystkich oszczerców. *Golos* wie dokładnie, kto te oszczerstwa wymyśla. Wymyśla je ten sam, kto je w obieg puszcza. *Golos* wie tak dobrze, jak wszyscy wiedzą, że w tych jego potwarzach cienia nawet prawdy niema.

Dopóki nędzne oszczerstwa, niskie insynuacje, brudne potwarze *Golosa* naszą prasę dotykały, nie odzywaliśmy się, uważając wszelką protestacyą za ujmę samym sobie. I dalej tak samo postępować będziemy. Ale dziś idzie o los kilku, a może nawet kilkunastu tysięcy niewinnych rodzin; dziś, w tej „uroczystej chwili“, jak się sam *Golos* wyraża, idzie może jeszcze o szersze i ważniejsze sprawy, którym takie jak *Golosa* i jemu podobnych odezwania tylko szkodzić mogą. Dlatego przypominamy *Golosowi*, że według praw obowiązujących, odpowiedzialność kryminalna ciąży na tych, którzy oszczerstwem i potwarzą godzą na byt i mienie osób trzecich. Temi trzecimi osobami są tutaj niemogący się bronić urzędnicy kolei, na których *Golos* podejrzenie rzucić usiłuje. Przypominamy mu, że każde prawodawstwo ciężkie kryminalne kary nakłada na tych, którzy starają się się nienawisć między poddanymi jednego państwa.

Uwagi te nasze podajemy nie dla *Golosa*, uważalibyśmy to bowiem za zbyt bezużyteczne. Nie podajemy ich także ze względu na najwyższe władze rządowe, o których *Golos* wspomina; zbyt tam wiele rozważy, zbyt łatwe środki kontroli, zbyt wskutek tego wielka pewność, że w insynuacjach *Golosa* niema, powtarzamy to, niema cienia prawdy, byśmy się obawiali, że insynuacje podobne mogą tam znaleźć echo. Nie podejmujemy ich także dla opinii rosyjskiej oświeconej, ta wie zbyt dobrze, co o *Golosie* i jego praktykach sądzić. Obawiać się tylko możemy opinii warstw mniej oświeconych, która, przy rozdrażnieniu i roznamiętnieniu, fałsze tego rodzaju i w tej formie podane może brać za prawdę, gdy *Golos* i jemu podobni w interesie osobistym dalej oszczerstwami takimi karmić ją będą, a ucziwa część dziennikarstwa rosyjskiego nie zechce sobie przypomnieć, że obowiązek prasy szanującej swe wielkie powołanie nie leży w jątrzeniu, ale w łagodzeniu.

## Od poczynek.

Obraz Wastaga.

Pomiędzy Szeklerami i Saksonami Siedmiogrodu istnieje osobne rzemiosło tak zwanych

„gwazdaczy“, uprawiane po większej części przez ludzi klasy najuboższej, albo przez koczujących czy wędrujących Cyganów i Cyganki. Podgatunek ten malarzy smaruje mury domów włościańskich na biało, krzyże przydrożne na czerwono i kapy nad trzonami kuchen na czarno. Największy zarobek mają przed Wielkanocą, bo wtedy każdy włościanin oczyścić i odświeżyć pragnie swe domostwo.

Oto taki typ właśnie schwycił najzdolniejszy malarz siedmiogrodzki Wastag, artysta który obok Węgrów Munkaczy'ego i Zichy'ego, zaszczytne zajmuje miejsce, a pod względem wykończenia dzieł swoich nawet ich przewyższa.

Widziemy tu młodą Cyganke, która po dokonanej robocie, z penzlami i koszem, zawierającym naczynie jakiegoś, zapewne z farbą, powraca do domu. Malownicze łachmany otaczają ciało młodej dziewczyny. Sploty kruczonych włosów przykrywa chustka kolorowa; śniada twarz, szyję i rękę prawą zdobią nieodzowne koleżyki tombakowe i fałszywe korale. Znużona długą drogą, usiadła na skarpie i z wyczajem plemienia swego, zapala krótką fajeczkę z knastrem. Całość, pełna prostoty i swobody, należy do najudatniejszych utworów rodzajowych tegoczesnych.

## Przegląd polityki zagranicznej.

10 listopada.

General adjutant Ignatiew zawiadomił telegrafem, iż w d. 2 b. m., o godzinie pierwszej po północy, otrzymał odpowiedź rządu tureckiego na ultimatum rosyjskie. Porta zgodziła się na dwumiesięczne zawieszenie broni, licząc od środy, to jest od 1 b. m., jednocześnie zaś wydała swoim generałom rozkaz, aby bezzwłocznie wstrzymali działania wojenne. Szczegółowe warunki zawieszenia broni Porta postanowiła wskazać później, za porozumieniem się z generałem Ignatiewem i reprezentantami mocarstw. Nie potrzebujemy dodawać, że zawieszenie broni wywołało natychmiastowe polepszenie kursów papierów publicznych, Serbom zaś dozwolilo odetchnąć po krwawych, lecz niepomyślnych wysiłkach. Nieulega zaprzeczeniu, że Turcy, działając masami, wzięli górę nad nielicznym zastępem Serbów, lecz nie zdobyli szturmem Aleksinacz, jak to stambulskie telegramy zrazu doniosły. Serbowie sami opuścili Aleksinacz, wskutek porażki doznanej pod Dżunisem, wycofali swoją załogę i wysłali ją w połowie do Deligradu, w połowie do armii stojącej nad Timokiem. Stanowiska zajmowane przez Turków i Serbów w d. 1 b. m. o tyle są ważne, o ile uwzględnionemi będą przy wytknięciu linii demarkacyjnej. Czynnością tą zajmą się bezzwłocznie komisarze wojskowi mocarstw.

Wraz z zawarciem zawieszenia broni, położenie polityczne zmieniło się zupełnie. Odkryło się obfite pole do przypuszczeń i domysłów; winniśmy więc ostrzedz czytelników naszych, aby nie dowierzali pierwszej lepszej pogłosce. Nawet urzędowe i najlepiej uwiadomione dzienniki, naśladując przywódców świata dyplomatycznego, odzywają się tak ogólnikowo, iż trudno z tego dobiec, co na radach gabinetowych postanowionem zostanie. Telegram z Konstantynopola z d. 6 b. m. donosi, że w ostatnich dniach odbywały się nadzwyczajne narady ministrów i ambasadorów, oraz że Rosya zajmuje się obecnie wypracowaniem projektu o warunkach pokoju, na podstawie propozycyji angielskich.

Według ostatnich sprawozdań dzienników hiszpańskich, spisek odkryty przez rząd madrycki istotnie uknuty został przez b. ministrów Zorrillę i Salmerona. Powstanie miało wybuchnąć na północy, pod hasłem federacyjnym (fueros); nad morzem Śródziemnym działać mieli republikanie, a liberalni stronnicy konstytucyji z 1869 r. w Madrycie i reszcie kraju. Spiskowi powyznaczali już przyszłych generał-kapitanów; wszystko jednakże odkryte zostało, wskutek schwytania na granicy pod Bidassą wieśniaczki, z mnóstwem listów

i korespondencyj Zorrilli. Rozpuszczono pogłoskę, jakoby rząd hiszpański aresztować kazał przeszło sto sześćdziesiąt osób, ale korespondent Debatów zapewnia, że aresztowano tylko trzydzieści, z których większa część wypuszczoną zostanie na wolność, dla braku dowodów.

Najważniejszym faktem posiedzenia francuzkiej izby deputowanych była deklaracya rządu, w przedmiocie polityki wschodniej, odczytana przez ks. Decazes'a. Minister spraw zagranicznych zaznaczył, że pokój jest najżywniejszym interesem Francyi. Rząd zaś oświadcza, że nigdy nie narazi bezpieczeństwa i honoru kraju w walce niedotykającej wprost jego interesów. Minister obiecał izbie, iż przedstawi jej wkrótce swą korespondencyą dyplomatyczną. Przemówienie to nie dziwi nas wcale, rząd bowiem francuzki, czując swoją słabość, nie może mówić i działać inaczej. Każdemu wiadomo że Francya ma rozliczne interesy na Wschodzie i że sprawa ta nie jest jej obojętną; lecz nie mogąc stanowczego wyrzec słowa, rząd francuzki przynosi dziś załatwienie kwestyi wschodniej, nad jej rozwiązanie. W każdym razie zganić tego wprost nie można. Depesze paryzkie, na zasadzie wiadomości podanych przez „agencya Havas“, utrzymują że p. Elliot złożył Porcie projekt konferencyji, ułożony przez rząd angielski. Jeżeli projekt przyjętym zostanie, konferencya odbędzie się w Stambule.

Z Rzymu donoszą o śmierci kardynała Antonellego. Wybory do izby wypadły w duchu postępowym.

OSTATNIE TELEGRAMY. Berlin, 8 listopada. Gazeta Kolońska utrzymuje, że projekt angielski zasadza się na trzech punktach: 1) niepodległość i całość Turcyi; 2) oświadczenie mocarstw, że dążyć nie będą do zaborów terytoryalnych; 3) uspokojenie powstańczych prowincyji, na zasadzie propozycyji Elliota. Gazeta dodaje, iż niewiadomo czy wszystkie mocarstwa zgodziły się na przyjęcie projektu angielskiego.

Zemlin, 8 listopada. Oficerowie rosyjscy częścią wracają do kraju, częścią pozostają w Serbii, celem organizowania rezerwy. Uzbrojenia nie ustają, bo tu nie wierzą w pokój.

Rzym, 7 listopada. Miejsce zmarłego kardynała, jako podsekretarza stanu, objął ks. Vannutelli. Antonelli zapisał swój zbiór klejnotów i dzieł sztuki muzeum watykańskiemu.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times)

## Od redakcyi.

Procent roczny od stypendyumu imienia *Józefa Keniga*, w ilości rs. 40, rozdzielony został jak następuje:

*Władysław Szlesinger*, uczeń klasy trzeciej szkoły realnej, otrzymał rs. 25.

*Józefat Nowak*, uczeń klasy trzeciej progimnazjum drugiego, rs. 15.

## KORESPONDENCA OD REDAKCYI.

P. p. W. G., J. G., K. P., Z. L., L. P., w Rydze. Zapewne w chwili wysłania listu swojego nie czytaliście panowie jeszcze numeru 44 Tygodnika. Zamieszczono w nim sprostowanie rzecher całą ostatecznie załatwia.

**Doktorowi Nemo.** Za rady życzliwe serdecznie dziękujemy. Świadczą one jednak, po większej części, o niedostatecznej znajomości naszego położenia i stosunków miejscowych. Takich czytelników, jak ów rzechnik poznański, niema u nas wcale. Załujemy że dla braku adresu, nie możemy panu obszerniej odpowiedzieć listownie.

Więrsze p. t. Obraz i myśl; — Jesienne liście; — Zachód słońca w piśmie naszym drukowane nie będą.





Scena ostatnia trzeciego aktu „Emigracyi chlopskiej“ Wl. L. Anczyca. Odjazd do Ameryki. Rysunek Juliusza Kossaka.

# POJEDYNEK SZLACHETNYCH.

Komedia w 4-ach aktach,  
ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANA

przez  
**Sewera.**

(Nagrodzona na tegorocznym konkursie dramatycznym warszawskim).

(Dalszy ciąg).

LIDYA.

I śledziłeś, mój lordzie?

LORD.

Od trzech miesięcy.

LIDYA.

I nie powiedziałeś mi ani słowa?

LORD.

Nie śmiałem ani przeszkadzać, ani się narzucać—gdyż również milezano i ukrywano się przedemną.

LIDYA (wyciąga rękę, lord je ściska).

Mój wuju, upokarzasz mnie.

LORD.

Bynajmniej, znam prawa uczucia. Im więcej się ono tai, im głębiej się kryje, tym jest silniejsze. Angielki kochają cicho, spokojnie, pochłaniając wszystko w sobie, podobne różom białym, a gdy wybuchają, grożąc pożarem, to wtedy kipi w nich krew nasza.

LIDYA (z radością).

A więc mi przebaczasz?

LORD.

Ja raczej proszę o przebaczenie za narzucanie się, podejrzenia i pogonie.

LIDYA.

I znowu mnie upokarzasz, mój drogi wuju, a przerażasz, mówiąc o podejrzeniach.

LORD (przysuwa się z fotelem do Lidyi).

Gdy przytrzymał młodego człowieka, mówił nam o ranie...

LIDYA.

Otrzymał ją w pojedynku.

LORD.

Otóż ten szczegół nie został wyczerpująco zbadanym. Czybyś nie mogła nas, moje dziecię, ze swój strony objaśnić?

LIDYA.

Nie więcej nie wiem. Unikał w tym przedmiocie rozmowy. Nie śmiała badać, szanując w takich razach skromność.

LORD.

I nie przyszło ci nigdy na myśl, że zwyczajnie młodzi ludzie pojedynkują się o kobiety, o honor kobiet?...

LIDYA (przestraszona).

Nigdy.

LORD.

A jednak i ten pojedynek nie należy do wyjątków.

LIDYA.

Juliusz pojedynkował się o kobietę?

LORD.

O honor siostry swego przyjaciela. Wprawdzie przyjaciel nie żyje, został więc naturalnym opiekunem sierot—gdyż młodziutka miss ma jeszcze młodszego brata. Złośliwi zaczęli mówić o rozpościęciu opieki i nad sercem młodej pupilki. Naturalnie więc że chciał ich zmusić do mileczenia.

LIDYA (żywo).

Cóż w tym tak strasznego?

LORD.

Dotąd nic, lecz z toku rzeczy nastroczają się dwa przypuszczenia. Albo się kocha w tobie, a bałamuci tamtę—albo kocha tamtę, a chce się żenić z Lidją Brougham.

LIDYA.

Niepodobna—niepodobna!

LORD.

Moje dziecię, jest to bardzo prawdopodobnym, a wielu ludzi nazywałoby to bardzo naturalnym.

LIDYA.

Byłoby to niżejmem i dlatego utrzymuję, że jest nieprawdopodobnym.

LORD.

Fakt faktem, i w chwili gdy rozmawiamy, może na Wild-street lży tęsknoty płyną. Podobno na Wild-street umieją kochać. Ogólna opinia tak mówi. I dlaczegóżby nie mieli posiadać wzajemności? Czyż to tak trudno i ciężko?

LIDYA (silnie).

Wzajemności? Więc pocóż go zatrzymywać?

LORD.

Jeśli oświadczysz głośno, że może odjechać, niech jedzie!

Scena 6.

Wchodzi NORTH, niepostrzeżony przez Lidją.

LIDYA (powtarza z cicha do siebie).

Niech jedzie! (Zamyśla się i wzdryga.) Pocóż, mój wuju, od razu tyle rzuciłeś czarnych myśli w mą duszę i tak nielitościwie stargałeś biędne serce?... Niech jedzie—a jadąc niech zabierze spokój Lidyi i uśmiech jej szczęścia. Niech jedzie i niech zostawi za sobą pustkę nicości, której nawet nie potrafimy zapelnąć tęsknotą... Drogi mój wuju, tutaj (pokazuje na serce) tyle było wiary i tyle pewności... Czyż cisza nie jest szczęściem? I dlaczegóż zakłócił tę jedyną ciszę biędnego szczęścia ludzkiego—targając serce? Zaco? Ha, niech jedzie! (Wybuch płaczem. North wzruszony gwałtownie).

NORTH.

James, czemu pastwisz się nad sierotą?... Zkąd podobne przypuszczenia? Patrz, czy można nie kochać tego dziecka? Czy jest kto, co by się odważył nie kochać jej?... Cóż znowu—z bakalarzy robisz półbogów, lub Don-Żuanów. Właśnie niech zostanie... i gdyby się odważył na opozycję.. Nie, to niepodobna!... A tośmy dożyli czasów, James! czasów w których lordowie proszą panów profesorów, abysię żenili z ich jedynaczkami!... A oni?... O nie, James! tak źle nie jest. James, przysięgam ci, sam roztrzaskałbym mu historyczną głowę. (Lidya wyciąga w mileczeniu do Northa rękę, North podaną ściska.)

SŁUŻĄCY (wchodząc).

Peggy prosi waszjej miłości o posłuchanie w interesie, jak utrzymuje, niecierpiącym zwłoki.

LORD.

Niech wejdzie.

Scena 7.

LORD. NORTH. LIDYA. PEGGY.

Lidya siada na kanapie. Peggy wchodzi, nie postrzegając Lidyi.

PEGGY.

Mój lordzie, nowe nieszczęście!

LORD.

Peggy, bez wstępów.

PEGGY.

Szukają uwiecznionego dżentelmana.

NORTH.

Kto?

PEGGY.

Oto tak było. Mój, jak zwykle, jak codzień, poszedł na szklanekę wina z panem Poot, masztalerzem, do wdowy Lipp. Pocziwa to kobieta, nie dolęwa wody...

LORD.

Peggy!

PEGGY.

Już, już, mój lordzie! No, i siedząc, pili sobie...

NORTH.

Do rzeczy, do rzeczy!

PEGGY.

Mój lordzie, ja nie jestem uczona, ani wielka pani, ja nie mogę tak od razu, od jednego tchu, wszystko wypowiedzieć.

NORTH.

No, no, mów jak potrafisz.

PEGGY.

Otóż siedzieli i pili, a potem wracali—tak, wracali do domu, do mnie. I gdy mijali stacją kolei—patrz, aż tu idzie pośpiesznie kunim młoda miss. Zatrzymują się—miss nadchodzi—i lekko się kłania i oni się kłaniają, to jest mój i pan Poot. Nareszcie miss pyta się—ale o co się pyta?

NORTH.

Mów prędzej.

PEGGY.

Pyta się najspokojniej o Peggy Bull. Na to mój odpowiada: A toż to jest moja żona. A na to miss mówi, że życzy sobie mnie widzieć i rozmawiać ze mną. Słyszac to, pan Poot pierwszy powiedział: „pójdzmy...” i poszli.—Wchodzą do pokoju, ja wstaje, miss pyta się, czy to ja jestem Peggy Bull, a ja odpowiadam: tak, więc cóż? Na to miss odzywa się, że chce na cztery oczy pomówić ze mną. Wtedy mój wziął raz jeszcze pana Poot do wdowy Lipp, a myśmy zostały. Miss obejrzała się wokoło, przybliżyła się do mnie i drzącym głosem zawołała: „Na Boga, powiedz mi pani, gdzie jest Juliusz Stanley?” a oczy miała pełne łez. (Lidya powstaje i odwraca się—Peggy ją postrzega.) I moję drogą panią widzę tu. Ach jak to dobrze! teraz mi będzie lżej i śmiej.

LIDYA.

Moja Peggy, opowiadaj dalej.

PEGGY (wesolo).

Najdroższa, jedyna moja pani, wszystko co do słowa!—Na czémże więc stanęłam?... Aha! Miss miała pełne łez oczy i była blada, jak papier.—Zmiarkowałam zaraz że jest źle, lecz jak gdyby nic, biorę się pod boki i pytam: Moja panno, zkąd to wiiesz, że ja mam wiedzieć koniecznie o panu Stanley? Zresztą cóż ciebie tak bardzo pan Stanley obchodzi? „Co mnie obchodzi?—rzekła ze łzami—to tak samo, jakbyś się pani pytała, co mnie obchodzi mój ojciec.“—Ho, odzywam się i dla pewności biorę się jeszcze raz pod boki. Ho, ho, pan Stanley niebardzo wygląda na ojca.—Na to miss odparła z dumą: „Pan Stanley jest moim i mego brata prawnym opiekunem.“—Chcę zagadać sprawę, znowu się pytam: od jak dawna nie widziałas go pani? „Od wczoraj w południe—odrzekła.—Mówił że zrobi wieczorem wycieczkę, jak dawniej, konno, w okolice zamku Brougham.“—Może już jest w domu u siebie, robię uwagę.—„Właśnie niema go, zawołała, łamiąc rękę.“—Jak mi Bóg miły, załamała rękę. (Pokazuje, łamiąc swoje.) „Niema go w domu, niema go na kursach, a wyjechał z niezagojoną raną—opowiada dalej miss.—Przestraszyłam się i jadę do Brougham; tam rozpytuje się, lecz nikt nie wie. Idę do parku, zaczepiam ogrodnika.“—Pewno Jana widział, o, jestem najpewniejsza że Jana.—Gruby, pękaty, mały, niski, poznaczony ospą? Czy tak? pytam się miss.—„Tak, tak, odpowiada.“ To był Jan, mówię...

NORTH.

Ależ Peggy, zostaw Jana i kończ nareszcie.

PEGGY.

Jan, bo to on był, tłumaczył się, że nie wie—choć wiesz, pół napół.—Niegłupi to człowiek; ale gdy miss radziła się go, czyby nie było dobrze, żeby poszła do biura policyi, Jan szepnął jej, a by przyjechała tutaj, wyszukała mnie i rozpytała się o pana Stanleya.

LORD.

I jakże nareszcie załatwiłaś tę sprawę?

PEGGY.

Ja nie nie załatwiłam, mój lordzie; spojrzalam na zegar i niby przestraszona zawołałam: Już piąta, muszę biedz do zamku na służbę. Wróce za półgodziny, a wtedy pogadamy obszernie.—Chcę wyjść—miss chwytła mnie drżąca za rękę i prosi mnie, ale tak prosi, że aż tu mnie zamdliło (pokazuje na dołek pod piersiami.) Prosi się, a ja mam przecie serce... „Odpowiedz mi tylko czy żyje?“ Żyje i zdrów, rzekłam do ucha miss—a ona zarumieniła się z radości, jak wieśnia, z pewnością z radości—przysięgnę! Kazałam podać herbatę i jestem tu, stoję przed moimi lordami i przed moją panią i mileczę.

LIDYA (spokojnie).

Jak wygląda ta młoda osoba?

PEGGY.

Oczy takie (przytyka dwa pierwsze palce do oczu, pokazując jak są wielkie), biała jak krew z młékiem, zęby i włosy (z gestem).—A to ty go kochasz, moja kotko, myślę sobie, idąc przez drogę do zamku. A dlaczegóżbyś nie miała kochać? Jeżeliś go tylko poznała, musisz kochać—kochają go wszystkie... a niech kochają! Ale on—wiem kogo tylko kocha.

LORD (*patrzyc na Lidya, daje znak ręką Peggy, aby przestała*).

Zaczekaj tam. (*Peggy wychodzi*.)

LIDYA (*szeptem do pochylonego nad nią lorda*).

Drogi wuju, niedobrze mi—pomóż mi odejść. (*Do Northa*.) Mój lordzie, jesteś dobry i szlachetny, jak zawsze; obraziłam cię... przebacz biędnę!

NORTH.

Na honor, nie czuliśmy się obrażeni, proszę wierzyć i być dobrej myśli.—Czyżby nie potrafiła walczyć?

LIDYA.

Walczyć, mój dobry opiekunie? walczyłam, gdy walka była możliwa... Lecz dziś walczyć?... Z kim, lub przeciw komu?

LORD.

Nie chcesz zostać z nami?

LIDYA.

Czuję potrzebę samotności. (*Wstaje, opiera głowę na piersi lorda i płacze*.) Ciężko mi. Jeżeli każdy szlachetny poryw serca trzeba tak srogiem upokorzeniem opłacać, to lepiej niech zamarzna wszelkie uczucia, zanimby rozkwitły.

LORD.

Uspokój się i patrz ład sobą. (*Odwraca głowę ku drzwiom*.) Peggy!

NORTH (*dzwoni; ukazuje się służący*).

Peggy niech wejdzie. (*Wbiega Peggy*.)

LORD.

Odprowadź panią do jej salonów i wracaj tu.

PEGGY.

O ja nieszczęśliwa, teraz wszystko na mnie; lecz cóż ja temu winna? (*Lidya i Peggy odchodzą*.)

### Scena 8.

LORD I NORTH.

NORTH (*w gwałtownym gniewie, chodząc*).

A co? czy nie słusznie czułem zawsze jakiś wstręt do uczonych? Ha, nikiem! Gdyby to było dwieście lat temu, wyszedłbyś z więzienia, ale do fosy, bratku, i tam kazałbym cię naszpikować dwunastu kulami. Ale cóż, wigi wszystko zepsuli. No, a teraz co?

LORD.

Trzeba wybadać małą i niech sobie jada.

NORTH.

I my mamy patrzeć na łzy naszego dziecka?

LORD.

Więc cóż robić? Zresztą łzy młodości prędko wysychają, a nas przecie stać na wyszukanie zaścępy pana profesora.

NORTH.

Bakałarza!

LORD.

Zmuszeni ostatecznością, ulegamy, lecz gdy konieczności niema, dlaczegobyśmy nie mieli wrócić na nasze stanowiska? Przecież gdybyśmy wybierali mężów dla naszych córek, nie szukalibyśmy ich pomiędzy profesorami.

NORTH.

Lecz, niestety, nie wybieramy, a teraz cały plan, wyborowy plan i tak oryginalny—upada. Wigi znów tryumfować będą!

### Scena 9.

CIZ I PEGGY.

PEGGY (*wchodzi*).

Jestem, mój lordzie—jestem. (*Obciera łzy*.)

LORD.

Młodą tę osobę przyprowadzisz, ale bez żadnych przerażeń.

NORTH.

I strachów.

LORD.

Tak, bez strachów; owszem, uspokoisz ją, mówiąc że opiekun jej żyje, zdrowy, wesół i dobrze się bawi.

PEGGY.

Powiem że jest na polowaniu. (*Lordowie kiwają głowami, na znak potwierdzenia. Peggy odchodzi*.)

SŁUŻĄCY.

Pocock prosi waszją miłości o posłuchanie.

LORD.

Bardzo dobrze.

### Scena 10.

POCOCK (*wchodzi, kłania się i staje przy drzwiach, z ręką przy uchu*).

Z raportem, wasza miłość. Kwit z odbioru więźnia wręczyłem rządzczy zamku.

LORD (*daje znak Pocockowi, aby się zbliżył*).

POCOCK (*kłania się i podchodzi*).

Wasze miłości, przyszedłem do raportu.

NORTH.

Cóż takiego.

POCOCK.

Więzień niezawodnie chce być przesłuchanym, bo pytał się o waszą lordowską mość. Gorączka—oni wszyscy tacy.

LORD.

I cóżes mu odpowiedział?

POCOCK.

Powiedziałem, że zamelduję; ale mu także powiedziałem: poco się sir śpieszysz. Udaję że nie wiem kto on taki.—Poco się śpieszyć, mówię, czy ci tu źle? a fosa, czy tak, czy siak, nie minie. Co do Pococka, on łzę otrze z żalu po tobie i zostanie sam z pustym więzieniem i w pustym zamku. Harveye nie żartują. (*Z mocą*) rozumie się!

NORTH.

Musiał się zdziwić.

POCOCK.

Niebardzo, bo pytał się, co to ma znaczyć że fosa go nie minie. A ja mu pokazałem tak (*pokazuje ręką cięcie topora po szyi*). Więźniowie stanu nie wychodzą z więzienia, chyba do ołtarza, albo po koronę. (*Z mocą*) A rozumie się! Dziwić się nie dziwił, tylko coś szeptał do siebie i uśmiechnął się. Zna swój los i oto wszystko. Ale co to Pococka obchodzi? to nie jego rzecz. (*Kłania się*.) Przychodzę do raportu, wasza miłość.

LORD.

Słucham.

POCOCK.

Primo: przesłuchanie, secundo: czy wolno więźniowi przechadzać się po parku i czy może listy wyprawiać na pocztę?

LORD.

Tymczasem może tylko iść, jeżeli zechce, do biblioteki; zresztą czekać na dalsze rozkazy.

NORTH (*uśmiechając się*).

Czy nie próbował uciec?

POCOCK.

Ho, ho, kto się raz dostaje pod klucz Pococka, nie myśli o tém. A rozumie się!

LORD (*dotykając ręką ramienia Pococka*).

Wracaj, pocziwy stary, i pilnuj. Tylko do biblioteki pozwalam, czy słyszysz?

POCOCK.

Wola waszją miłości spełnioną zostanie. (*Kłania się i odchodzi; staje i wraca*.) Sekretarz waszją miłości, Kidd, kazał z woli waszją miłości zważyć więźnia. Sto trzydzieści dwa funty i pół, łutów dwa—zapisane.—Czy ważyć codzień?

NORTH.

Codzień i zapisywać czy nie chudnie.

POCOCK.

Wola waszją miłości. (*Kłania się i odchodzi*.)

LORD.

Takich Pococków więcej już nie znajdziesz.

NORTH.

I takich jak my za dwadzieścia lat już będzie mało. Róbnymy więc tak, aby nasze czyny długo o nas mówiły.

LORD.

Zobaczmy.

NORTH (*do siebie*).

Ten Kidd, ten przekłety Kidd, gdy najwięcej potrzebny, nigdy go niema. I znów jedna wielka myśl nie zapisana!

### Scena 11.

LORD. NORTH. PEGGY.

PEGGY (*ukazuje się z za kotary, we drzwiach któremi wyszła Lidya, zbliża się na palcach pocichu*).

Jest tu, (*pokazuje na drzwi*) w zielonym salonie; panienska na nią patrzy.

NORTH.

Rozmawiają?

PEGGY.

Wcale nie, mój lordzie, panienska stoi ukryta za portyera. Bo to my kobiety lubimy popatrzeć na te, które naszych kochają. I ja chciałam niegdys widzieć Klarę Gipss. Zaraz gościa przyprowadzę. (*Wychodzi*.)

NORTH.

Natura ludzka, zwłaszcza kobiet, wszędzie i zawsze jest jedną.

LORD.

Kochany North, zaczynasz okazywać skłonności do filozofii...

### Scena 12.

LORD. NORTH. PEGGY I LETTY.

PEGGY (*wchodzi, robiąc przy drzwiach miejsce nowoprzybyłej*).

Miss Letty Cavendish!

Letty w kapeluszu na głowie, w jasne, harmonijnie dobrane kolory ubrana, kłania się. Lordowie uprzejmym ruchem zapraszają ją bliżej. Lord daje znak Peggy, aby odeszła. Peggy się kłania, przystaje, ogląda i niechętnie odchodzi.

LORD.

Przybycie pani do Harveye zawdzięczamy jej poszukiwaniom.

LETTY (*siadając*).

Najlepszego przyjaciela i jedynego opiekuna, mój lordzie. Koledzy jego i uczniowie zdziwieni są jego nieobecnością, a ja z bratem byłam zrozpaczoną. Dopiero dobra pani Peggy Bull uspokoiła mnie i pocieszyła.

LORD.

I ja ze swęj strony zapewniam panią, że się znajdujesz pośród najlepszych przyjaciół pana Stanley i swoich.

LETTY.

Wierzę ci, mój lordzie, i jestem wdzięczną, a tylko gniewam się na pana Juliusza, dlaczego nas listem nie zawiadomił o opóźnieniu swego powrotu.

LORD.

Roztargniony!

LETTY.

I to już nie od dzisiaj.

NORTH.

Czyż może być lepszy powód do rozpacz, jak dwudziesto cztero-godzinna nieobecność młodego opiekuna?

LETTY.

Czasami pana Juliusza nie widuję i całe dwa dni, a nie uważam się za nieszczęśliwą, bo zawsze mam o nim jakąś wiadomość. Raz nie widziałam go tydzień, a jednak nie rozpaczałam.

LORD.

Może niezadługo będzie pani wolno rozciągnąć większą kontrolę nad swym opiekunem?

LETTY.

Tak sądził za życia swego mój starszy brat; lecz wtedy byłam dzieckiem, miałam zaledwo czternaście lat. Dziś dużo się zmieniło.

NORTH.

Zmieniło się, mówisz pani?

LETTY.

Wiele się rzeczy zmieniło, mój lordzie. Najprzód ja już nie jestem dzieckiem, a pan Juliusz, zwykle smutny i zamyślony, wpada do nas na małą chwilkę i wybiega; gdy zaś zostanie, chodzi po pokoju i duma... Rzadko miéwamy sposobność widzieć dobrego humor.

LORD.

Kiedyż to, jeżeli nie jesteśmy natrętni?

LETTY.

Dobry humor mego opiekuna zawsze poprzedza jego wyjazd do Brougham, i wtedy żartuje sobie ze mnie, jak mój brat niegdys żartował, przesładując mnie panem Juliuszem.

NORTH.

Przesładuje samym sobą?

LETTY.

Ależ nie, mój lordzie, nazywa mnie wtedy zupełnie inaczej.

LORD.

Inaczej?—a to z powodu?

(*Dalszy ciąg nastąpi*.)

## OGRODY ZOOLOGICZNE EUROPY.

Przez  
dra fil. Jana Banzemera.

Wiek XIX, który na wszystkich polach rozwoju ludzkości tak znaczące poczynił postępy, upowszechnił też w Europie instytucje naukowe, które służąc za jedną z najgodziwszych rozrywek, szerzą zarazem w narodach wiedzę o życiu i obyczajach najbliższych człowiekowi stworzeń Bo-

skich: zwierząt kręgowych. Instytucjami temi są ogrody zoologiczne.

Historia uczy nas, że już przed 3,000 lat wysoko czczony w Chinach przodek dynastji Tschea, Weng-Wang, założył taki zwierzyńiec, który „parkiem inteligencji“ nazwał i cieszył się nim wraz z ludem swoim, jak mówią starożytne dokumenta.

Grecy lubili okolice swoich schronień wiejskich ożywiać obecnością zwierząt, ograniczali się przecież, jak mówią ówczesne sprawozdania, na niewielu zwierzętach do polowania i ptakach

wodnych, ozdobnych i śpiewnych, to jest na zakładaniu tak zwanych dzisiaj zwierzyńców, wiele siedzib zamożniejszych ludzi w Europie otaczających.

Toż samo upodobanie zapisały kroniki Rzymu o mieszkańcach berlu jego podległych. W Rzymie samym, celem nasyceń żądzy krwi pospólstwa, gromadzone były skarby całego świata zwierzęcego, aby w walkach arenowych, w oczach zgromadzonego ludu, paść ofiarą wzajemnych lub gladyatorskich zapasów. I tak istnieje wiadomość że po zwycięstwie nad Kartagińczykami naraz



Żydowską bryką. Rysunek Henryka Pillati'ego.

282

## Kalendarze Józefa Ungra na rok 1877.

### KALENDARZ

WARSZAWSKI ILLUSTROWANY POPULARNO-NAUKOWY

na rok zwyczajny 1877.

Wydany obecnie kalendarz na rok 1877 liczy 32-gi rok swego istnienia, i oprócz niezbędnych wiadomości informacyjnych, mieści w sobie artykuły najcenniejszych w literaturze naszej pisarzy.

Oprócz tego pośród działu informacyjnego mieści się tak zwany „Przewodnik warszawski“, który, ze względu na rozmaite wiadomości i informacje jakie w sobie obejmuje, z nową reformą sądową, zarówno dla osób z prowincji do Warszawy czasowo przybyłych, jak i dla stale zamieszkałych, jest nader pożytecznym.

Cena egzemplarza kop. 50.

### DZIENNIK

NA ROK 1877.

Cena egzemplarza kop. 30.

### KALENDARZ ŚCIENNY

NA ROK 1877.

Cena egzemplarza kop. 15.

**Uwaga:** Osoby zamieszkałe na prowincji, jeżeli pod adresem wydawcy nadeszłą **rs. jednego** na powyższe **trzy** kalendarze, takowe wysłane im zostaną **franco**, jeżeli zaś nadeszłą należność na którykolwiek egzemplarz pojedynczy, w takim razie uprasza się o dołączenie po kop. 10 do każdego egzemplarza oddzielnie, na kosztu przesyłki.

Adres: Józef Unger, Warszawa, Nowolipki Nr. 2406.

REBUS.

283



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 45.  
Gusła i zabobony to są owoce ciemnoty.



wprowadzono do Rzymu 142 afrykańskie słonie, które padły ofiarą na uroczystości dawaną na cześć zwycięstwa. Hipopotamy, girafy, wielbłądy, antylopy i nosorożce, stada lwów, panter, strusi, lampartów, tygrysów, niedźwiedzi, często po kilkaset sztuk liczące, sprowadzane były dla uciechy pospólstwa i w walkach arenowych poświęcane.

Na drugiej nawet półkuli ziemskiej, według opowiadania Ferdynanda Korteza, władca Meksyku, Montezuma, w obszernym obrębie własnego pałacu, urządzone miał wielkie baseny i sadzawki, w celu utrzymywania ptaków wodnych. Jak znaczne ich ilości tam utrzymywano, świadczy fakt, że do opieki nad niemi wyznaczonych było 300 strażników, a dla samych rybożerczych dziennie spotrzebowywano 250 funtów ryb. Prócz tego znalazł także Kortez niesystematyczny wprowadzie, ale bogaty zbiór ptaków drapieżnych, oraz wilki, lisy, lwy, tygrysy, jakoteż wszelkiego rodzaju i w wielkiej ilości koty. Wszystkie te drapieżne zwierzęta i ptaki wyłącznie kurami żywione były. Oddział ten drugi zbioru zostawał również pod opieką 300 strażników.

W Europie początek zbiorów żywych zwierząt sięga XVI wieku; aż do trzeciego dziesiątka jedynak naszego stulecia były to wyłącznie przez monarchów zakładane menażerye stałe, w ogrodach i parkach przy ich zamkach, bez żadnego zresztą naukowego systematu utrzymywane. I tak:

Cesarze austriacy od r. 1552 w Ebersdorf, Neugebau i Belwederze utrzymywali zbioru zwierząt, z których następnie przez Franciszka I i Maryę Teresę w roku 1752 założoną została menażerya cesarska w Schönbrunnie pod Wiedniem. Zbogacona i uzupełniona prywatnemi cesarskiemi zbiorami w ogrodzie dworskim w Wiedniu i w Laksenburgu pomieszczonemi, stanowi ona dziś jeden z najpiękniejszych ogrodów zoologicznych Europy.

Władcy Wielkiej Brytanii długi czas w Towrze londyńskim utrzymywali menażerye, będące zawsze własnością współczesnego księcia Walii, to jest następcę tronu. Menażerye te przecież, głównie niedźwiedzie i lwy posiadające, nigdy żadnej pretensyi do naukowej wartości dzisiejszych zoologicznych ogrodów rościć sobie nie mogły.

Również i królowie Francyi, Ludwik XIV, XV i XVI, w rezydencyi swej w parku wersalskim, posiadali menażerye. W czasie rewolucyjnego ruchu w końcu zeszłego wieku niewiele brakło, żeby o biędnych zwierzętach zapomniano; ale Bernard de St. Pierre, ówczesny dyrektor ogrodu botanicznego paryzkiego *Jardin des plantes*, wyjednał uchwałę, postanawiającą połączenie ogrodu roślinnego ze zwierzęcym. W roku 1794 przesiedlono zwierzętobiór z Wersalu do Paryża. Mnożył on się z rokiem każdym i dziś zajmuje znaczną część ogrodu roślinnego. Niepodobna wprowadzić do tego zbioru przykładać miary obecnych ogrodów zoologicznych; zawsze jednak jest-to zakład ze wszech miar szacowny, który stanie się zapewne systematycznie naukowym, gdy przemienie chwilowy, przeważny zapal ludności paryzkiej i protekcyja wyłączna rządu dla paryzkiego aklimatyzacyjnego ogrodu.

Jako pierwszy zbiór w obecnym stuleciu systematycznie zgromadzony, jako wzorowy zakład dla naszych dzisiejszych zoologicznych ogrodów, uważany jest zwierzyniec hr. Derby w Knowsley, menażerya w Knowsley zwany. Kosztowny ten zakład obejmował powierzchnię 100 morgów ziemi i 70 morgów wody. Po śmierci właściciela w r. 1851 wydany opis wlicza 345 zwierząt ssących i 1272 ptaki, jako inwentarz zwierzynca. Roczne koszty utrzymania jego obliczano na 60,000 rs. Sposób urządzenia i staranna opieka dozwoliły tam utrzymywać nawet bardzo delikatne zwierzęta, a tym sposobem rozmnażać kosztowne ich gatunki. Z 1200 na sprzedaż wystawionych ptaków 549 urodziło się w samym ogrodzie, a z 345 zwierząt ssących aż 207.

Towarzystwo zoologiczne londyńskie było pierwszym, które w r. 1828 założonemu i w Regentsparku w Londynie umieszczonemu zbiorowi

żyjących zwierząt dało nazwisko ogrodu zoologicznego. Środki, jakimi instytucya ta, wśród najludniejszego w świecie miasta położona, rozporządza, w porównaniu z innemi podobnemi, są nadzwyczajne. Dochód roczny dosięga cyfry 200,000 rs. Napływ zwiedzających jest olbrzymi i przenosi pół miliona osób rocznie. W pewne dni bywa tam więcej niż po 30,000 osób. Liczba ta przecież, tak tu jak wszędzie indziej, podlega znacznym wahaniom. Przyrost najznaczniejszym bywa zawsze, ilekroć ogrodowi przybywa jakie nowe, interesujące zwierzę. Sprowadzeniu pierwszej girafy w r. 1836, pary ptaków rajskich w r. 1862 zawdzięczała kasa ogrodu znaczny przyrost. W r. 1850, gdy hipopotam przybył do zoologicznego ogrodu, liczba nieabonamentowych zwiedzających urosła do 360,402 osób, gdy rokiem przedtęm zaledwie 169,000 biletów rozkupiono. Z takimi siłami można z łatwością niezwykłych też rzeczy dokonywać. Więcej niż 1700 zwierząt już w r. 1866 było tam hodowanych (do 600 ssących, 1000 ptaków, 100 gadów), ogólną wartość 150,000 rs. przedstawiających, razem zaś w r. 1871 było zwierząt 2072. W r. 1871 zwiedziło ogród ten 593,917 osób, a dochód wynosił za rok ten blisko 17,600 funtów sterlingów (około 123,000 rs.)

Najbogatsza ta z zaprzatających nas instytucyj, rozporządzająca w dodatku półwiekowym blisko doświadczeniem, rozumie się sprawie hodowli zwierząt nadzwyczajnie niesie przysługi. Niema prawie w świecie znaczniejszego gatunku zwierzęcia, żeby go ogród ten nie starał się posiadać, lubo niezawsze starania w tym celu czynione mu się powodzą, jak n. p. sprowadzenie żywego goryla, co już dwukrotnie usiłowano, lecz zawsze bez skutku, gdyż goryl w drodze zdychał. Podobnie niektóre inne gatunki zwierząt, tak tu, jak i w innych zbiorach tego rodzaju, nie cieszą się zbyt długim życiem, jak n. p. orangutangi i szympanse, ptaki rajskie i t. p. i potrzebują częstych dopełnień, w skutek ubytku. Z powodu tak dawnych początków ogrodu, dziwić się także nie można, że znajduje się tam jeszcze to i owo przestarzałe i beczelowe urządzenie (n. p. bezwarunkowo zaciąsne pomieszczenie dla zwierząt drapieżnych), które dopiero powoli przez lepsze zastępowane zostaje. Istniejący zresztą materiał naukowy, w poważny sposób używanym bywa przez tamtejsze zoologiczne towarzystwo, o czém świadczą różne publikacje jego. (1) Przy zwiedzaniu ogrodu samego służy, prócz „Przewodnika“, do objaśnienia obszerny naukowy spis wszystkich w zbiorze istniejących zwierząt. (2) Prócz tego znajduje się w ogrodzie zbiór doskonałych akwarjel (mistrzowskiego pensla Wolfa), uprzytomniających znaczniejsze zwierzęta, które ogród posiadał, lecz które już ubyty. Bogaty ten ogród zajmuje tylko 28 morgów przestrzeni, a cena wejścia wynosi 1 szylinga (30kop).

Niderlandy w poprzednich stuleciach posiadały także zwierzynce i menażerye w Hadze, Rosendal, Gran i Nymwedze, w Amsterdamie i Gandawie, które, zdaje się po części, dosyć nawet były znaczące.

W r. 1809 założył król Ludwik Napoleon menażerya stałą w Amsterdamie; lecz po trzynastomiesięcznym istnieniu upadła ona, wraz z upadkiem królestwa holenderskiego.

Zasluga powołania do życia dzisiejszego zoologicznego ogrodu w Amsterdamie przynależy się księgarzowi G. F. Westermanowi, który od samego początku aż do ostatnich lat był jego duszą i dyrektorem. Ponieważ plan jego zarówno przez magistrat jak i przez rząd został odrzucony, ten nieulekniiony przodownik chlubnego dzieła znalazł się ograniczonym do samopomocy. Połączył się więc z dwoma jednakowo myślącymi obywatelami miasta, założył towarzystwo zoologiczne, nabył odpowiedni grunt, urządził na nim ogród i na wiosnę 1838 r. ogłosił publiczne wezwanie.

Bezwłocznie dosyć znaczna liczba współmieszczan podpisała się na członków, niewszyscy przecież wzięli udział w zaciągniętej na ten cel pożyczce, która też z tego powodu dosięgła tylko cyfry 25,000 florenów. Wówczas to, w r. 1839, nadarzyła się sposobność nabycia dla ogrodu menażeryi van Akena. Postanowiono kupno jej za cenę 34,000 flor., chociaż nie dostawało budynków na pomieszczenie zwierząt. Menażerya van Akena sprowadzoną została do Amsterdamu i tymczasowo pomieszczoną w miejskich koszarach.

Środki piędne na zakup, utrzymanie i pomieszczenie zbioru tego skąpo towarzystwu przyływały i istnienie przedsiębiorstwa zdawało się wątpliwę. Pomimo to przecież rozpoczęte budowlę prowadzono dalej i wykończono, a w r. 1840 pomieszczone w nich zwierzęta wystawione zostały na widok publiczny. Od téj chwili wśród Amsterdameczyków obudziła się gotowość do ofiar, którą naród holenderski odznacza się dla każdej żywotnej sprawy. Prócz zbioru zwierząt, znajdując się w amsterdamskim ogrodzie bardzo bogata zoologiczna biblioteka, gabinet nauk przyrodzonych, muzeum etnograficzne i dom palm. Prócz „Przewodnika“ towarzystwo wydaje „Rocznik“ (1) z wiadomościami o minionym roku i uwagami o pojedynczych zwierzętach, oraz czasopismo zoologiczne. (2) Przestrzeń gruntu przez ogród zajmowana wynosi 29 morgów, roczny dochód 150,000 fl., a cena wejścia  $\frac{1}{3}$  fl. holend (około 25 kop.)

W Rotterdamie już w r. 1854 utrzymywało kilku urzędników kolejowych w ogrodzie do dworca należącym, a sadzawką zdobnym, różne rodzaje kaczek, bażantów, ptaków drapieżnych, a później i małpę. Znalezli się miłośnicy, którzy przez składki piędne umożliwili wydzierżawienie sąsiedniego ogrodu. Zbiór zwierząt wzrastał przez zakupy i dary. Poczęto pobierać skromną opłatę za wejście i zaraz w pierwszym roku znalazło się 100 osób, które roczny abonament po 10 fl. opłaciły. Przez tak gorący współudział mieszkańców, obudzoną została idea założenia ogrodu zoologicznego na większą skalę i w niespełna trzy miesiące zebrany został w tym celu kapitał 300,000 florenów, pod warunkiem że sławny w świecie zoolog Martin, który w pobliżu Rotterdamu nabył posiadłość ziemską, do prowadzenia całej instytucyi wezwany zostanie. Grunt zakupiony do założenia ogrodu, sam przez się drogi, droższym stał się jeszcze, gdy dla zapobieżenia zalewom podwyższony być musiał, tak że sam przeszło 100,000 florenów hol. pochłoniął. Urządzenie zato ogrodu jest wspaniałe. Odrazu widać, że Rotterdam nad Amsterdamem miał tę przewagę, iż zaraz przy założeniu posiadał wielką przestrzeń gruntu i wielki kapitał. Przestrzeń gruntu pod ogrodem wynosi 42 morgi; dochód roczny tylko 50,000 florenów, cena wejścia  $\frac{1}{2}$  flor. hol. (około 25 kop.). Najświetniejsze miejsce w grodzie tym zajmuje imponująca skala bazaltowa, która tak jest wielką, że na jej czerwonym grzbiecie stada całe lam i gemz przeganiają się, jak opowiada pan Friedel, w swojej podróży po zoologicznych ogrodach Holandi, Anglii i Belgii (3).

Prócz tych dwóch instytucyj Holandya posiada ogród zoologiczny w Hadze, założony w r. 1863 przez tameczne Towarzystwo zoologiczno-botaniczne. Jako najmłodszy, ogród hagski nie może wytrzymać porównania z amsterdamskim i rotterdamkim, szczególnieź brak mu dotąd „okazów wabiących“, to jest girafy, słonia, nosorożca, lwa i t. d., wedle których publiczność ma zwyczaj ocenienia ogrody zoologiczne. Że przecież od r. 1868 finansowe położenie zakładu tego wciąż się poprawia, przeto zwierząt tych zapewne niedługo będzie brakowało, mówi p. Friedel w powołanym miejscu. Wejście do ogrodu kosztuje 50

(1) Proceedings of the zoolog. Society of London.—Transactions of the zool. Society of London.

(2) List of vertebrated animals, living in the gardens of the zool. Society of London.

(1) Jaarboek je van het.Kon. Zool. genootschap Natur.Ar-tis Magistra.

(2) Bijdragen tot de dierkunde etc.

(3) Zob. czasopismo Zoologischer Garten. Zeszyt II z r. 1872, str. 337.

centów (25 kop). Drukowanego przewodnika po ogrodzie do r. 1871 jeszcze nie było.

Belgijskie ogrody zoologiczne odznaczają się gustownym założeniem, urządzeniem i malowniczością położenia.

Zwierzyniec Brukselli, przez tameczne zoologiczne towarzystwo w r. 1851 założony, posiada obecnie kosztowny park, krajobrazową piękną i wszystkie inne przewyższający. Więcej niż w którymkolwiek zwierzyniu wydatkują tu na ozdobę kwiatową, trzymając się wiernie firmy: *Jardin royal de zoologie, d'horticulture et d'agrément*. W zimie urządzają tam nawet koncerty i wszelkiego rodzaju uroczystości. Gruntu brukselski ogród obejmuje 47 morgów, dochodu rocznego ma po 150,000 franków. Cena wejścia 1 frank (25 kop).

W tymże roku założony został ogród zoologiczny w Gandawie, który przeważnie trudni się hodowlą zwierząt dających się zaaklimatyzować, nie hoduje zaś wcale zwierząt drapieżnych i wszelkich zbyt kownych. Urządzenie ogrodu tego jest bardzo ładne, a znajdujące się w nim zwierzęta starannie są pielęgnowane. Gdy przecież cel handlowy jego istnienia stanowiąc ma przewagę nad celem naukowym, doświadczenia też w nim osiągnięte nie bywają komunikowane naukowemu światu, i dlatego instytucja ta mniej jest znana, niżeli na to zasługuje.

W Niemczech najdawniejszym jest ogród zoologiczny w Berlinie, w r. 1844 założony. Początek swój zawdzięcza on profesorowi uniwersytetu Lichtensteinowi, który wystarał się u króla, że zwierzęta, do tej pory na wyspie Pawiej w Potsdamie kosztem królewskim hodowane, oddane zostały towarzystwu ogrodu zoologicznego w Berlinie, wraz z częścią zewnętrzną parku zwanego Thiergarten, pod Berlinem położonego, i sporą zapomogą pieniężną. Ogród ten zoologiczny, w zbyt lesistym zwierzyniu założony, a w dodatku aż do r. 1869 pozbawiony odpowiedniego kierunku, długo bardzo lichy się rozwijał. Dopiero w r. 1869 powołanie do jego kierownictwa znanego w świecie uczonym, doświadczonego dra Bodinusa, na zupełnie inne pchnęło go tory.

(Dokończenie nastąpi.)

## LISTY ZE STOLICY WĘGIER,

profesora A. Pawińskiego.

### II.

Bogatą pod względem ilości przedmiotów wystawie archeologicznej odpowiadał najzupełniej i sam kongres, pod względem mnogości wygłoszonych lub projektowanych mów, odczytów i rozpraw na sześciu posiedzeniach, które się odbyły w ciągu tygodnia, od 4 do 11 września. Gdyby z tego stanowiska oceniać przyszło doniosłość kongresu peszteńskiego, należałoby go do najświetniejszych w szeregu innych policzyć. Wielu nawet mówców głosy spadały z wokandy, dla braku czasu. Nie ilość jednak, jak wiadomo, stanowi w takich razach. Zresztą doniosłość, znaczenie danego zjazdu naukowego nie polega wyłącznie na ostentacyjnym rozstrzygnięciu wielkich pytań naukowych. Kongres jest, między innymi, także spotkaniem się badaczy z różnych stron i różnych narodowości, którzy to *rendez-vous* naukowe obracają na prywatne porozumiewanie się w rzeczach do badanej przez nich umiejętności się odnoszących. W tych poufnych niejako rozmowach, prowadzonych nieraz w bardzo nielicznym kółku, dotykają zbliżeni do siebie wspólnością przedmiotu badacze ważnych kwestyj, będących na porządku dziennym, rozstrzygają wzajemnie wiele wątpliwości, zdają sobie sprawę z kierunku, w jakim się rozwija nauka i z tego obcowania naukowego większą częścią niż z publicznych, głośnych odczytów odnoszą korzyść. Te narady prywatne wszakże nie wychodzą na jaw, nie odbywają się na arenie publicznej samego kongresu, nie mogą więc świadczyć o jego świetności; po-

średnio jednak w swych skutkach służą tak samo sprawie nauki, jak jawne i głośne konferencje. Otóż te właśnie dyskusje publiczne mniej wogóle wydały nam się ważnymi na tegorocznym kongresie peszteńskim. Na poprzednich zdaje się poruszano rzeczy zasadnicze, kwestje wielkiej wagi, dotyczyły podwalin, na których się wspiera antropologia i archeologia przedhistoryczna. Niezawsze też to może i pora do potrącania o tak rdzenne pytania naukowe. Gdy raz droga jest wskazana, długo po niej chodzą uczeni, nim na inne wejda tory. To też teraz zdaje się, jak gdyby nastał czas zgromadzania materiału w coraz większej mierze i wypełniania szczegółami głównych rysów, zakreślonych przez naukę w tym lub owym kierunku.

Nie zamierzamy tu podawać kroniki konferencyj naukowych. W liczbie mnogich mów, odczytów, referatów były takie, które rozwlekkością wykładu a treścią drugorzędnej wartości działały na słuchaczy przygnębiająco, jak ciężka a duszna atmosfera. Te więc słusznie milezieniem pominąć należy. Był jednak z drugiej strony cały szereg mówców, którzy głos zabierali w rzeczach wielkiej dla nauki wagi, a słowem swym żywym umieli powszechnie w zgromadzeniu wzbudzić zajęcie. O tych godzi się choć treściwie nadmienić.

Profesor Broca, jeden z najgłośniejszych dziś w Paryżu operatorów, sekretarz Towarzystwa antropologicznego, zabierał głos w przedmiocie bardzo ciekawym z dziedziny, że tak powiem, chirurgii przedhistorycznej. Pan Broca mówił o trepanacji (przedziurawianiu) czaszek w epoce przeddziewiętej. Tylko Francuzi posiadają tego rodzaju talent krasomówczy, a przedewszystkiem jasność wykładu, która najzawilszy przedmiot czyni przystępnym każdemu słuchaczowi. Z jasnością łączy się niezwykła prostota, a jednak ścisłość argumentacji. Profesor Broca przemawiał tak, iż pod względem formalnym zaiste nikt mu na kongresie nie był w stanie dorównać. Uwaga w zgromadzonych licznie słuchaczach na chwilę nie osłabła. Pod koniec wykładu nieraz zręcznym zwrotem mówca umiał ożywić zajęcie ku swemu przedmiotowi. Rzecz o trepanacji czaszek należała niewątpliwie do spraw najciekawszych, wytoczonych przed uczonymi areopag antropo-archeologów na kongresie peszteńskim.

Znajdowano we Francji od dość dawnego czasu czaszki z odległych epok przedhistorycznych, przedziurawione w tym sposobie, że otwory wydawały się nie przypadkowymi, lecz umyślnymi, sztucznymi. Otwory te bywały wielkości dwu lub trzygroszniaka, kształtu różnego, niezawsze okrągłego. To przedziurawianie czaszek nazwano trepanacją z tego powodu, że nowoczesna chirurgia ucieka się niekiedy do podobnego przedziurawiania czaszki zapomocą świdra, który się *trepanem* nazywa. Sama jednak nazwa żadnego nie daje objaśnienia. Przedziurawione czy trepanowane czaszki zagadką dotychczas pozostawały dla nauki. Profesor Broca przywiózł ze sobą z Paryża kilka egzemplarzy, aby zgromadzonym badaczom mógł jaśniejszy wyłożyć swój sposób zapatrywania się i wytłumaczyć powody tak zagadkowej, jak na owe przedhistoryczne czasy, operacji. Z porównania ze sobą licznych czaszek przyszedł p. Broca do przekonania, że w niektórych otwory zrobione były za życia indywiduum; przekonanie to opierało się na pewnych zmianach anatomicznych, jakie przedstawiały czaszki za życia człowieka przedziurawione, zwłaszcza jeśli człowiek ten po operacji żył jeszcze czas dłuższy. Zdaniem przeto p. Broca jedne z dziur powstały wskutek operacji, inne porobione były ze względów religijnych. Mówca, dowodząc tego założenia, wykazał niepospolitą zręczność dyalektyczną, obok głębokości obserwacji. Powoływał się na wypadki medycyny ludowej, która w wiekach średnich leczyła epilepsyą i inne choroby nerwowe (taniec św. Wita i t. d.) przez obnażanie kości czaszkowej, zwłaszcza potylicznej, i świdrowanie dziury, aby przez nią zły duch, sprawca choroby, mógł ulecieć. Przytoczone zostały inne jeszcze okoliczności, które istotnie pra-

wdopodobnym czyniły pogląd prof. Broca, mianowicie iż pewna część przedziurawionych czaszek przedhistorycznych jest świadectwem ówczesnej chirurgii operacyjnej, która już stosowała to, co dziś znane jest pod nazwą trepanacji. Broca, sam biegły chirurg, podziwiał niezwykłą zręcznością, do jakiej dojść musieli lekarze z epoki kamienia szlifowanego (bo z tamtych czasów owe czaszki pochodzą), kiedy bez narażenia życia człowieka takie operacje, przy braku narzędzi żelaznych, wykonywali. Objasnienie takiej treści nie zdaje się być ani trudnym, ani naciąganiem.

Większą nierównie stanowią zagadkę czaszki, przedziurawione już po śmierci indywiduum, gdzie zatem operacji, w znaczeniu chirurgicznym, przypuszczać nie można. Ciekawą bowiem jest okoliczność, że znajdowano często w grobach przedhistorycznych przedziurawione czaszki, a w nich kawałki z innych czaszek, wykrojone w różne kształty, często okrągłe, znane pod nazwą *rondelles*. Jaki ich mógł być cel? Broca przypuszcza, że z czaszek pewnych ludzi, których czecho za życia w szczególniejszy sposób, wykrawano kawałki na talizmany, które noszono jako relikwie i następnie składano do grobu. Szczęśliwy traf zrzędził, że znaleziono kawałek wykrojony z pewnej czaszki, znajdujący się w innej. Przystawał on najszczelniej do otworu, z którego powstał. Ku zdziwieniu zgromadzonych pokazywał prof. Broca ten ciekawy okaz trepanacji, wycięty kawałek czaszki, który miał podobno za talizman służyć. Wtém używaniu relikwii widział mówca dowód, że ludzie owych wieków wnieśli się już do wiary w żywot przyszyły. Jeśli tak działo się istotnie, byłoby to odkrycie bardzo ważne i niezmiernie ciekawe. Rzecz wyłożona przez prof. Broca, z niezwykłym talentem krasomówczym, żywe wywołała spory i do ciekawych interpelacyj dała pochop, z których nadto powzięć było można wiadomość, że podobne czaszki znajdowano w okolicach Paryża, na polach Szampanii, oraz że dość znaczny zbiór takowych posiadają p. p. de Baye i dr. Pruniers.

Wielkiej dla nauki wagi były również spostrzeżenia udzielone z zakresu prastarych dziejów człowieka przez prof. Capellini. Lubo mówca nie posiada daru słowa w takim stopniu, jak prof. Broca, umiał jednak doniosłością poczynionych przez się odkryć pozyskać dla swego wykładu uwagę powszechną. Potrącono znów o tę niesłychanie trudną do rozwiązania zagadkę, jaką dziś niewątpliwie jeszcze być się zdaje dla nauki istnienie człowieka w formacji trzeciorzędowej, to jest w ową epokę, kiedy ziemia nasza nie pokryła się jeszcze swą grubą dzisiejszą skorupą. Profesor Capellini okazuje zgromadzeniu kości wydobyte w Toskanii, około miasta Sienny, z trzeciorzędowej formacji, kości wielorybie, na których ślady nacięć spostrzegać się dają. Kierunek tych nacięć, zdaniem pana Capellini, wskazuje, że nie mogą one pochodzić od zębów zwierzęcia mięsożernego, ale muszą być dziełem ręki ludzkiej. Całe zadanie mówcy polegało na tém, aby przekonać zgromadzonych, że te nacięcia noszą na sobie ślady nie przypadku, lecz rozmyślnego działania człowieka. Przynać trzeba, że subtelność dowodów, użytych do tego, aby dowieść założenia, świadczyła o staranności, z jaką prof. Capellini rzecz swoją zbadał, ale niewszystkich zjednała sobie przekonanie. W sprawie tak ważnej, tak wielkiej doniosłości, jak istnienie człowieka, w formacji trzeciorzędowej, oczywiście zawiązały się rozprawy wiele ożywione. Przemawiali głównie sceptycy, to jest ci, których dowody pana Capellini nie przekonywały; a lubo prof. Broca zdawał się ostatecznie przechręcać na stronę p. Capellini, pozostał jednak, o ile wnosić było można z ostrożnego nader wniosku, i nadal wątpiący co do istnienia człowieka w formacji trzeciorzędowej.

W rozprawach i głosach, zabieranych na tém lub owém posiedzeniu, zachowywano pewien porządek chronologiczny, odpowiadający przedmiotowi. I tak z kolei pierwszemi były pytania, które się odnosiły do epoki najdawniejszej, kamienia nieciosanego; następnie przemawiali mówcy

w przedmiotach z epoki kamienia szlifowanego; wreszcie treść ostatnich posiedzeń stanowiły rozprawy o epoce brązu. O antropologii mówiono już pod sam koniec kongresu. To co wyżej nadmieniliśmy o spostrzeżeniach, udzielonych zgromadzeniu przez panów Broca i Capellini, należy z treści swęj do najpiękniejszych oddziałów archeologii przedhistorycznej. Z tej dziedziny wielu innych głośniejszych badaczy poruszało wielorakie kwestye archeologiczne, nie sądząc jednak, abym pisząc o nich, mógł wzbudzić ku nim zajęcie czytelnika polskiego, niewtajemniczonego w te drugorzędne sprawy archeologii szwedzkiej, francuskiej, włoskiej i t. d.

Epoką brązu zajmowano się wiele; oddzielnie jednak w tym przedmiocie rozprawy nie wzbily się nad średni poziom. Pan Worsaae, znany archeolog duński, bronił istnienia oddzielnej cywilizacji z epoki brązu, mianowicie w Skandynawii, przeciwko czemu w ostatnich dwóch latach tu i owdzie odzywały się głosy. Twierdził że od południa, drogą handlu bursztynowego, przyszła znajomość metalurgii, znajomość brązu, i że sztuka ta na północy odrębnie sobie wyrobiła kształty. Wskazywał nadto, jak nadal i w innych krajach uczeni zajmować się winni epoką brązu. W tej samej myśli, co do metody badania, przemawiali pp. Montelius, Virchow, Franks i inni. Były to rady, wskazówki i życzenia... dużo słów... Lecz czynu najwięcej pokazał p. E. Chantre, wice-dyrektor muzeum w Lugdunie, którego rzecz o własnych pracach już dokonanych w tym zakresie wywołała słuszną w zgromadzeniu uznanie, należne młodemu badaczowi. Pan Chantre, słysząc rady, wypowiedane przez pp. Worsaae, Montelius i t. d., jak należałoby notować na mapie, opisywać, porównywać wykopaliska z brązu, wstępnie na mównicę i okazuje zgromadzeniu badania swoje nad starożytnościami z epoki brązu, w dolinie rzeki Rodanu, zawarte w albumie znacznych rozmiarów i w trzech ogromnych tomach drukowanego dzieła. Jeden z tych tomów zawiera szczegółowy wykaz statystyczny wszystkich przedmiotów, jakie kiedykolwiek, wyrobione z brązu, znaleziono we Francyi i w Szwajcaryi. Sama dolina Rodanu dostarczyła 19,968 egzemplarzy. Dołączone do tego są dwie mapy, z których jedna przedstawia miejsca, gdzie znajdowano we Francyi i w Szwajcaryi brązy z brązu, druga miejscowości, gdzie wogóle znajdowały się przedmioty brązowe. Istotnie podziwiać trzeba było ścisłość w wykonaniu takiego pomysłu. Mapy pana Chantre dają odrazu cały obraz geograficznego rozpowszechnienia cywilizacji brązowej i ułatwiają wyprowadzanie wielolicznych ztąd wniosków. Wreszcie przedstawił p. Chantre dwa tomy niewydanego albumu, w którym mieszczą się wizerunki różnych typów brązowych, oraz typów narzędzi żelaznych, z najwcześniejszej doby używania żelaza. Wizerunki te służą do obrazowego porównania dwóch cywilizacji. Już na pierwszy rzut oka poznasz, że epoka brązu odmienną jest całkiem od epoki żelaza. To co p. Chantre w swoich pracach pokazał, wydało nam się najwięcej uwagi godnym w całym szeregu mów wygłoszonych z zakresu epoki brązu. Dzieło p. Chantre pomnikowym, wzorowym nazwać można. Zaiste, tylko bogata Francya tak kosztowne podejmować jest w stanie wydawnictwa. Cena egzemplarza tego trzytomowego dzieła kilkaset franków wynosi. Szczęśliwi ci, co tak uprawiać mogą nauką niwą!

Rozprawiano jeszcze wiele, pięknie i uczenie o różnych kwestyach dotyczących brązu. Prezes kongresu, p. Pulski, dowodził nawet, że w Węgrzech istniała, niezależnie od brązu, epoka miedziana. Ale czas już skończyć z temi rozprawami. Wzmianka jednak słusznie należy się jeszcze tym mówcom, którzy głos zabierali w przedmiocie archeologii polskiej.

Przedmiotem, który ogólną mógł wzbudzić uwagę, który obchodził i z Włoch i ze Skandynawii przybyłych, była rzecz przez p. J. N. Sadowskiego z Krakowa wyłożona, p. t. Drogi handlowe greckie i rzymskie przez porzeczca Odry, Wisły, Dniepra i Niemna, do wybrzeży morza bałtyckiego.

Była-to sprawa nader ważna, a jak ją traktował p. Sadowski, dał tego dowód w tejże pracy, wydrukowanej w Pamiętniku krakowskiej akademii umiejętności. Odznacza się ona trafnością metody badania, samoistością pomysłów i wniosków. Na tle tej pracy osnuł p. Sadowski swój wykład, który istotnie rzucił wiele światła na ciemne drogi, jakimi „chadzali“ kupcy od południa ku północy, w czasach przed i po-chrześcijańskich. Jeśli wykład ten nie wywołał żywych rozpraw, przypisać to należy jedynie krótkości czasu, jaki na przedostatnim już posiedzeniu zakreślony był mówcom. Życzyłoby tylko należało, aby ktoś polską pracę p. Sadowskiego uczynił przystępną dla cudzoziemców: wieleby z niej skorzystali.

Zabierał głos p. J. Zawisza, objaśniając dodatkowo, co znalazł przed dwoma laty w wierszchowskiej jaskini koło Ojcowa, a nadto nasuwając uwadze archeologów grot żelazny dzidy, z inkrustacjami srebrnymi, przedstawiającymi runiczny napis. Grot ten, znaleziony w okolicach Kowla na Wołyniu, w posiadaniu p. Szumowskiego z Warszawy będący, pochodzi, jak twierdzi jeden ze skandynawskich runologów, z IV-VI wieku po Chr. Bliższe szczegóły o tym grocie pomieszczone są w wydanym świeżo trzecim tomie „Wiadomości archeologicznych warszawskich.“

Profesor Mierzyński mówił o kilku przedmiotach, znalezionych w grobach na litewskiej ziemi. Była-to treść obszerniejszej pracy. Na wstępie uczynił wzmiankę, iż pomimo powszechnie przyjętego zdania, jakoby Germanie, Słowianie i Litwini najbliżsi byli ze sobą spokrewnieni, poglądom takim hołdować nie może, owszem, twierdzi, na danych języka i mytologii litewskiej się opierając, że lud ten właściwie do szczepu grecko-italijskiego należy. Mówił o ważności badań starożytności litewskich, w tym mianowicie względzie, że starożytności te, lubo z czasów historycznych pochodzą, wiele się jednak przyczynić mogą do rozjaśnienia doby przedziejowej. Zdanie to uzasadniał na obrzędach, zachowywanych przy pogrzebach na Litwie pogańskiej. Wspomniałszy, że na Litwie istniały dwa rodzaje chowania zwłok, zwrócił uwagę na przedmioty dawane zmarłym do grobu, oraz na powody, dla jakich je dawano. Znajdowane w grobach pazury niedźwiedzie i psie, wyjaśniał na zasadzie podania zachowanego u Strykowskiego, żelazne zaś nożyce na podstawie wiele ciekawego i ważnego podania o bogini śmierci Gittine. Wykładowi prof. Mierzyńskiego poświęcono dużo wyteżonej uwagi; ale brak czasu, możność mówienia w danym przedmiocie nie dłużej nad 20 minut, sprawiły, że na przedostatnim posiedzeniu już żadne rozprawy odbywać się nie mogły. Trzeba było poprzestawać poprostu na wypowiedzeniu lub wysłuchaniu danego referatu. Takie ograniczenie czasu wywołało to, że wielu z mówców rzekło się dobrowolnie głosu, kierując się nieraz względem na innych, którzyby coś ważniejszego mieli do zakomunikowania.

Byliśmy już w obawie, ażali z tego samego powodu, to jest braku czasu, nie spadnie z rejestru mowa, na którą zapisał się dr. Kopernicki z Krakowa, członek akademii krakowskiej, uczony antropolog, znany i za granicą z licznych pism z zakresu swęj specjalności. Dr. I. Kopernicki miał mówić o czaszkach wykopanych w różnych miejscach, a więc w przedmiocie kranjologii, która pod koniec kongresu, jako dział antropologii, przypadła. Na szczęście jednak, z powodu ważności kwestyi, urządzono posiedzenie nadzwyczajne, dodatkowe, ostatniego dnia przed zamknięciem kongresu, tak iż ciekawe spostrzeżenia dra Kopernickiego nie pozostały tajemnicą dla licznie zgromadzonych archeologów. Mówca przedstawił osiem czaszek starożytnych, pochodzących z Pokucia, z Białorusi (z Daniłowicz w pow. ihumeńskim, gub. mińskiej), oraz z Kamocinka w pow. piotrkowskim (cztery wykopane przez autora niniejszego listu). Czaszki te należą do epoki żelaznej. Najciekawsza jest okoliczność, że z tak różnych stron zebrane czaszki, prawie bez wyjątku odznaczają się typem najwyraźniej

długogłowym, wbrew przeciwnym temu, jaki cechuje tegoczesną ludność słowiańską tychże krajów. Zupełna zgodność tego faktu z podobnymi spostrzeżeniami prof. Bogdanowa (autora dzieła: O starożytnych czaszkach wielkorosyjskich), oraz dra Gregora i Weisbacha o czaszkach czeskich, przywiódła dra Kopernickiego do wniosku, że w rzezoniej epoce przedhistorycznej nie tylko zachodnie, lecz i wschodnie kraje Europy zamieszkałe były przez ludy nie-słowiańskiego szczepu, odznaczające się długogłowym typem w budowie swych czaszek. Co do pytania zaś, czy jednocześnie z tymi, mieszkając tam już i plemię krótkogłowe szczepu słowiańskiego, dr. Kopernicki uważa to za rzecz bardzo możliwą, jednak faktami kranjologicznymi dotąd nieudowodnioną. Dla słowiańskiej etnografii przedhistorycznej to, co dr. Kopernicki wygłosił na podstawie swych badań kranjologicznych, ma wagę wielką, niepominierną. Etnografia będzie się musiała liczyć z temi faktami, które z czasem rzucić może jaśniejsze światło na stosunki dwóch ludów, podobnego i zwyciężonego, z czasów pierwszego osiedlenia się Słowian. Wykład dra Kopernickiego powszechną na siebie zwrócił uwagę i wywołał rozprawę ze strony prof. Broca i prof. Kollmana (z Monachium). Prof. Broca, na przykład, zakomunikował, że czaszki kamocieńskie przypominają całą budową najżywiej starożytne czaszki z epoki Merovingów, prof. zaś Kollman, że znajduje niezaprzeczone podobieństwo czaszek przez dra Kopernickiego przedstawionych z temi, które znajdują się po cmentarzyskach germańskich. Tenże uczony niemiecki zachęcał również do dalszych i ściślejszych badań nad czaszkami krótkogłowymi z tejże epoki żelaznej, a to ze względu na możliwe wykazanie ich pochodzenia celtyckiego. Wykład p. Kopernickiego miłe na słuchaczach sprawił wrażenie i zamknął niejako szereg mów, wygłoszonych na kongresie peszteskim z dziedziny archeologii przedhistorycznej polskiej.

Czas jednak, byśmy już porzucili wszelkie wykłady, mowy i odczyty archeologiczne. Wystawa i posiedzenia — oto w treściwych rysach obraz kongresu; obraz to jednak niezupełny. Brak jeszcze wzmianki o dwóch wycieczkach archeologicznych, które przedsiębrało całe zgromadzenie uczonych. W następnym liście przejdziemy do ich obrazu, który tchnął życiem, barwnością i urozmaiceniem.

## Listy z wystawy filadelfijskiej,

Syurda Wiśniowskiego.

### Wystawa krajowa.

(Dalszy ciąg).

Przyznać wypada, że pejzażyści innych krajów pobici zostali przez amerykańskich, ku zdziwieniu zamorskich gości w Filadelfii. Ameryka nie tylko w przemyśle, lecz i w pewnych gałęziach sztuki wyrównała Europie. Bierstadta powodzenie stworzyło tam całą szkołę artystów malarzy, już to z Włoch, już z Nowego Yorku dostarczających mającym Yankesom dobrych lub miernych krajobrazów, bardzo pożądaných do zdobienia przyzwoitych *parlorów* zaatlantycznych. Mając tyle mierności domorosłych, Yankesy nie potrzebują oglądać lub kupować prac Eckhorsta i im podobnych, w sali w której powieszono obraz Siemiradzkiego „Sprzedaż amuletów.“

Dzieło to jest perłą sali rosyjskiej, prześcigając nie tylko rozmiarem, lecz i pod każdym innym względem najlepsze w niej umieszczone dzieła. Grupa targująca błyskotki składa się z trzech osób tylko, dwóch rozkosznie pięknych kobiet i murzyna. Odmienny to jednak murzyn od konwencyonalnych negrów, spotykanych na tuzinie obrazów przysłanych z Europy na wystawę. Różnicę tę doskonale pojęli Amerykanie, obcujący ciągle z murzynami, twierdząc iż ze wszystkich europejskich artystów jeden tylko Siemiradzki przedstawił im murzyna, podczas gdy inni przysłali maurów. Barwę, gładkość i połysk marmurowych

wschodów, na których targ się odbywa, powagę gmachu tworzącego tło obrazu, niebo południowe nad domem, słowem całe otoczenie targującej grupy, jakby wyjęte z jakiego starego grodu włoskiego, także umieli ocenić Amerykanie. Chwalono przytęm poprawny rysunek obrazu, pełen harmonii koloryt, świetny, a nieobliczony na olśnienie widza, i życie tętnące z trzech postaci, umiejętnie ugrupowanych.

Nie wiem dlaczego katalog wystawy malarza,

szczonych. Gdyby więc „Sprzedaż amuletów“ nie posiadała zalet tak niepospolitych, nie zwróciłaby niczyjej uwagi. Publiczność nie lubi głów zadziierać i karków nakręcać, patrząc na tuzinkowe okazy.

Nielepij powiodło się Gersonowi, którego „Mgłęporanna“ i „Dészcz letni“, dwie piękne allegory, pomieszczono wysoko, tuż przy oknie. Podobnież zaćmiono parę dzieł Skirmuntta, z Brindisi, który aż cztery obrazy przysłał do Filadelfii. O-

Cen obrazów w sali rosyjskiej nie podano w katalogu, podczas gdy w austriackim oddziale wymieniono cenę każdego. Ztąd tóż niektóre akwarele Tepy, wygłane do tegoż przedśionka gdzie Hamlet wisi, znalazły podobno kupeów. Ceny tych obrazków zdawały mi się tak niskie, że dziwić się muszę, dlaczego na nie kupców za morzami szukano.

Rzeźby, umieszczone w rosyjskim oddziale, w następnym szły porządku: najbliżej drzwi po-



**Z widowni wojny. Powrót zbiegłych rodzin tureckich przez wąwóz Milaczki.**

284

podpisującego się na swych arcydziełach *Siemiradzki, Roma*, nazwał *Semiradzsky Henry, Rome*. W Wiedniu również przekreślono nazwisko naszego mistrza. Czas, by młody artysta zaproteutował przeciw lekceważeniu i kaléczeniu miana, przeznaczonego na spuściznę dla przyszłych pokoleń.

Obraz Siemiradzkiego zawieszono, niestety, zbyt wysoko. W sali rosyjskiej niema ławki, z którejby, siedząc w środkowym punkcie komnaty, można nasycić się widokiem obrazów wysoko umie-

brazu Gersona „Krzyżacy w Polsce w wieku 14-stym“, wymienionego w katalogu, nie mogłem znaleźć. I niedziw, bo nie zachowano najmniejszego systemu w rozwieszaniu i numerowaniu dzieł pomieszczonych w sali. Miniatury stykały się z płótnami największych rozmiarów, numer pierwszy z pięćdziesiątym, ten zaś z dwudziestym. Z tój zapewne przyczyny nie znalazłem i „Kobiety włoskiej“ Millera. „Hamleta“ tegoż artysty wygnano do przedśionka i wysoko nade drzwiami powieszono.

stawiono kolumnę z popiersiem doktora Levitoux po jednej stronie, a Madonną z Dzieciątkiem po drugiej. Były to płaskorzeźby Rygiera. Obok nich stał tegoż artysty biust gipsowy Waszyngtona, szukający zapewne zlecenia na podobne marmurowe dzieło. Wątpię czy je znajdzie, bo z każdego kąta wystawy wygląda tu tyłu Waszyngtonów z marmuru, gipsu, gliny, a nawet austriackiego łożu, że publiczność ucieka od wizerunku ojca ojezyny amerykańskiej, jak od mary wiecznie ją trapiącej.



Ostatni dzień Pompeji. Kopia obrazu Karola Brüllow'a, z Ermitażu petersburskiego.

Cenglera rzeźby dziwnych mają sąsiadów, gdyż ociérają się, że tak powiem, o ikony z *terra-cotta*, przysłane przez rozmaitych mistrzów w tej gałęzi sztuki.

Cengler wystawił „Wstydlivość“, „Zosię“ Mickiewicza, popiersie tego genialnego poety (płasko-rzeźba) i „Matkę igrającą z niemowlęciem.“ „Wstydlivość“ możnaby śmiało nazwać drugą Zosią, podpatrzoną przez pana Tadeusza, gdy w negliżu wyszła do ogródka.

Z pawilonu pamiątkowego przeprowadzę znudzonych czytelników do wystawy rolniczej. Powtarzam, znudzonych, gdyż nieudolność cicerona pewno nie uprzyjemniła im wspólnej naszej wędrówki po galerii obrazów.

W gmachu rolniczym Warszawa i okolica reprezentują się wcale nieźle ziemiopłodami, maszynami, cukrami i t. d.

O wystawie zboża i nasion niewiele mogę napisać, bo zamknięte szafy pełne słoików, lub zbiorowe trofea z woreczków zaciérają tu indywidualność wystawców. Zresztą gdy czego dotknąć nie można, trudno o tém wypowiedzieć jakiegokolwiek zdanie. W wystawie zboża niewielki ład panuje. Snopek jęczmienny pana *Johanna von Egert von Schlesany*, oprzędła pracowita *Arachne*. Pomiedzy okazy nasion zabłądził słoik francuskiej musztardy, przysłany przez pana Grzegorza Berlińskiego z Warszawy. Słoik otwarto dla sędziów pewno, a kto żył i służył w gmachu rolniczym, kosztował z niej potrosze. Jako reporter, i ja kosztować musiałem, a że dobra i mam słabość do musztardy, kilkakrotnie odwiedzałem ten okaz jedyny, o którego doskonałości pozwolono mi przekonać się namacalnie. Na cztery runa elektoralne, dwa z trzyletnich, jedno z dwuletniej, a trzecie z rocznej owcy, przez szyby tylko popatrzyłem. Słyszałem że pana Glinki ze Szczawni w gubernii łomżyńskiej medal za nie nie minie. Albumu pana Gustawa Ulicha odszukać nie mogłem; zato znalazłem makę kościaną pana Konstantego Przeciszewskiego, fabrykowaną wedle nowego wynalazku, którego ważność ci tylko ocenić mogą, którym go wyjaśniono. W Filadelfii nikt go nie pozna, dzięki zaniedbaniu okazu. Krople amerykańskie z polskimi napisami, pana Hipolita Majewskiego, także zabłądziły do wystawy rolniczej.

Piękny zbiór kamiennych kuchennych naczyń, z fabryki pana Kaźmirza Cybalskiego, z Chmielowa, zastałem w okropnym opuszczeniu. Pył, gromadzący się ze szczególnym upodobaniem na zaniedbanych okazach ceramicznych, przez trzy miesiące osiadał na imbrykach stojących na stole, których użytku żaden cudzoziemiec nie pojmuje, bo kawę i herbatę tylko u nas w uczciwych tych przyrzędach robią. Najciekawsze dla cudzoziemców okazy leżały *pêle mêle* pod stołem. Jeden z nich otrzępiałem z litości i odkryłem w nim wazę, ozdobioną obrazkami naszego ludu. Żywością kolorytu i nowością tematu musiałaby się ona podobać Amerykanom, gdyby się tym ostatnim pod stół wleźć chciało i grzebać w pompejańskich stoczach pyłu, w celu odszukania biédnej wazy.

(Dokończenie nastąpi).

## SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Dalszy ciąg.)

— Helciu!..

— Mama... szukała w myśli wyrazu odpowiedniego i rzekła z naciskiem dobitnym — straszliwie grzeszy!..

— Podejrzynam tylko!..

— Podejrzynać kogo?.. jego? jego?.. A! proszę chyba podejrzynać i mnie!

— Helciu! — krzyknęła pani Ewelina.

Panna Helena w chwili téj roześmiała się głó-

śno. W śmiechu tym dzwoniły przejawy spazmatyczne, te jednak przebrzmiały, niby w próżni. Panna Helena dłonie obie do piersi przycisnęła, głęboko westchnęła i uspokoiła się.

Hrabia, siedząc, nogę na nogę założył i głową zlekka pokiwał.

— Co znaczy to takie gorące ujęcie się za panem Kaźmirzem? — zapytała pani Ewelina, akcentując wyrazy ostatnie.

— Znaczy to, mamó, że mnie zabolalo rzuconie podejrzenia na człowieka, o którego niewinności przekonana jestem.

— Z powodów?

— Przekonana jestem w sumieniu mojem, moralnie!..

— I moralne przekonanie na pozorach opierać się musi. Znam je, albo raczej domyślam się, odgaduję... Otworzyłaś mi oczy... Ach!..

Przy wyrazie ostatnim pani Ewelina podniosła się, wyprostowała i znowu córce w oczy spojrziała.

— Znam powody twoje, Heleno, tak wstrętne, tak obrzydliwe, tak poziome, że ich wymienić nie będę, a powiem ci tylko i z łatwością dowiodę, że moje i dziadka twego podejrzenie opiera się na racyach prawdopodobnych, bardzo prawdopodobnych... Słuchaj!.. (Tu pani Ewelina ton zmieniła i mówić poczęła w ten sposób, jakiego używają prokuratorzy przy wyprowadzaniu oskarżenia.) Pan Kaźmirz Odreński jest synem szewca, bratem kotlarza, wnukiem bednarza, stolarza czy powroznika, nie wiem, to mnie zresztą nie obchodzi, dość że pochodzeniem swoim należy do klasy społecznej, w której, temu nie przeczę, istnieją uczciwość, zacność i nawet honorowość, ale zawarte w ciasnym kółku pojęć i potrzeb, klasę tę obarczających. Pozostawanie w swoim kółku jest warunkiem uczciwości, zacności i honorowości dla członków każdej klasy... Wyjście z niego, nadwierzając równowagę moralną, zaszczepia pragnienia, których zaspokoić niełatwo... Zaspokaja się je, po największej części, kosztem uczciwości!..

Pani Ewelina odetchnęła.

Hrabia skinieniem głowy podkreślał niejako wyrazy przez córkę wymawiane.

Panna Helena wyglądała, jakby się sama znajdowała na ławie oskarżonych.

Pani ciągnęła dalej:

— Widzisz więc, prawdopodobieństwo istnieje. Przypuszczam że pan Kaźmirz nie winien, a jeżeli się nawet kradzieży dopuścił, to i w takim razie przypuszczam chętnie, nie niewinność, ale okoliczności łagodzące, wypływające z natury położenia jego. Bardziej winnym znajduję twego ojca, aniżeli tego biédnego szaraczka, wprowadzonego przez pana Orchowskiego na salony... Czy to się godziło? Był w tém przytém podstęp niejaki!.. Pan Orchowski nie oznajmił co to zacz, i ja go przyjąłem, najprzód jako korepetytora, następnie jako przyjaciela Frania, nie suponując w młodym chłopcu zakrywania pochodzenia własnego. I długo nie wiedziałam o niczem. Dowiedziałam się niedawno, ale nie robiłam z tego użytku, nie chcąc wyrządzać przykrości Franiowi!.. Tolerowałam!.. Obecnie atoli dalsze tolerowanie byłoby już występniem!.. Niech papa — tu się do hrabiego zwróciła — zakaze z łaski swojej tego pana przyjmować.

Hrabia odpowiedział skinieniem aprobacyjnym.

— I trzeba dyrektorowi policyi — dodała — udzielić wskazówek, w celu umotywowania podejrzenia, mogącego odkrycie sprowadzić!..

Znow hrabia skinął, jak poprzednio.

— Pewną jestem — rzekła pani Ewelina wkońcu — że nie kto inny, tylko on... pan Kaźmirz Odreński, jest sprawcą kradzieży!..

Wyrazy ostatnie, szczególnie zaś imię i nazwisko bohatera naszego, wymówiła z akcentem dobitnym, rzuciła okiem na córkę i wyszła.

Panna Helena pozostała sam na sam z dziadkiem. Przez chwilę milczała, wreszcie!..

— Dziaduniu!.. — zawołała — co to ja słyszałam?... Jestem jakby pod wpływem zmory sennej!..

— Matka ma rację!.. — odparł hrabia.

— Ależ to być nie może!.. Ja... ja!.. — bąkała — ja pana Kaźmirza... znam... doskonale znam!.. Dusza czysta.

— Ty się z łatwością ludzi możesz, moje dziecko. Tyś taka młoda, tak niedoświadczona! Ludzie tak przewrotni! W obecnych zwłaszcza czasach przewrotność, pomiędzy młodzieżą osobliwie, dochodzi granic ostatecznych!.. Nie nie znają świętego, nie nie szanują, i niedziw. Pomieszały się klasy i stany i znikł ów *esprit de corps*, który szepcił i utrzymywał punkt honoru. Dawniej w sferze szewckiej istniał punkt honoru szewcki, w sferze szlacheckiej szlachecki, wskutek czego powstało przysłowie „*noblesse oblige*...“ Dziś *noblesse n'oblige plus*, bo pomieszenie stawia każdego w pozycyi fałszywej. I młody ten człowiek znajduje się w pozycyi fałszywej, mógł przeto uleść pokusie, przeciwko której nie broni go nic, żadna bojaźń, żadna wiara, żadne poszanowanie.

— A przekonania, dziaduniu! — przerwała panna Helena — przekonania! Wszystko co jest dobrem, jest zarazem pięknym, da się zrozumieć i dowieść.

Stary hrabia głową pokiwał.

— Zobaczysz!.. — odrzekł — przekonasz się, gdy się pokaże, iż naszyjnik dyamentowy twojej matki sprzątnął ten młody człowiek.

— To się nie pokaże!

— Zobaczmy. Nie obwiniam go, ale posądzam, opierając posądzenie na podstawach pewniejszych trochę od tych, na jakich opierasz się ty. Dochodzenie już się rozpoczęło. Sprawa rozwinięta się torem zwyczajnym, drogą poszłak, domysłów i prawdopodobieństw, i przekonasz się, że wielkie prawdopodobieństwa zaświadczą na niekorzyść twego... protegowanego.

— Protegowanego? — podchwyciła panna Helena tonem zapytania, w którym żal się przebiegał.

— Jeżeli nie chcesz go na protegowanego, tém lepiej — odparł hrabia — przepraszam ciebie, moje dziecko.

— Ależ, dziaduniu, jam się zapytała nie w tym sensie — zaprotestowała panna Helena. — Chciałam przez to okazać tylko, że się dziaduniu omylił.

— Omyliłem się, przyznaję to, i dlatego też przepraszam ciebie.

Mówiąc to, wstał, dobitnie wyraz oblicza nastroił i wnuczkę za dłoń ujął. Pannie Helenie w oczach zakręciły się łzy. Chciała je powściągnąć, połknąć, w sobie stłumić, lecz usiłowania jej okazały się daremne. Wybuchnęła płaczem głośnym i mimowolnie pochyliła się w objęcia dziadka. Hrabia ją uściskał, przytulił, w czoło pocałował i pocieszał.

— No... no... — powiadał — impresyonowało się to wszystko. Przykro jest, gdy się pokaże, że człowiek, dla którego miało się względy, nie zasługuje na takowe. Aleś temu nie winna. Nie wiedziałaś, tak jak nie wiedziałem ja, jak nie wiedziała matka twoja. Ukrywał się tak zrzęcznie! Uspokój-że się!.. — Panna od płaczu się zanosila. — Ukrywał się, wstydział się pochodzenia własnego i przez to już samo dopuszczał się czynu niegodnego!.. Kto się z pochodzeniem ukrywa, kto się rodziców zapióra, ten nie cofnie się przed brudem, przed występkiem żadnym!..

— Dziaduniu, na Boga!.. — wyjąkała panna Helena.

— Uspokój się!.. To bagatel!.. Nie stało się nic nadzwyczajnego!..

— Dziaduniu, litości!

— Nie bądź-że dzieckiem!.. — mówił stary hrabia. — Zastanów się, pomyśl!.. Nie można być odemnie wyrozumialszym i pobłażliwszym; zdarzają się jednak okoliczności takie, w których wyrozumiałość i pobłażliwość są słabością występnią i niedorzecznością wstrętną. Tobie brak doświadczenia, ale niebrak ani rozsądku zdrowego, ani poczucia godności osobistej. Zostawiam ciebie, moje dziecko. W samotności rozważaj przyjdzie ci prędzej i łatwiej i, pewny jestem, przekonasz się, że awantury tej niewarto do serca brać żywo. Szkoda naszyjnika, prawda, szkoda, ale strata ta, jeżeli się nie odnajdzie, nie pozostanie bez kompensaty. No, zostawiam ciebie.

Pocałował wnuczkę w czoło i wyszedł.

Panna Helena, pozostawszy sama, od razu się w płaczu utuliła. Łzy jej oschły, czoło się wyogodziło; przeszła się razy parę po saloniku i udała się do swego pokoju, znajdującego się na piętrze. Tam stało biurko, obok gotowalni. Zasiała przy biurku i zaczęła pisać list, nagłówek którego oznaczał, że pisała do ojca.

Z panną Heleną dziwna zaszła rzecz. Uczuła w sobie jakby zmianę jakąś, tłumaczącą się przez sposób, w jaki zapatrywała się na Kaźmirza. Dotychczas widziała w nim towarzysza, przyjaciela i trochę przewodnika w tym sensie, że on jej wskazywał nie drogi, ale drogokazy, na których oboje odczytywali napisy, niekiedy niejasne. Zwykle on objaśniał i dość często do niewiadomości się przyznawał. Ramionami ścisłał i powiadał:

— Nie wiem.

Panna Helena lubiła wyraz ten w jego ustach, w takim bowiem razie czuła się równą jemu, pospieszała corychlej z hipotezą pierwszą lepszą, jaka się jej na myśl nawijała i puszczała się na odkrywanie nowych światów. W wędrówkach tego rodzaju Kaźmirz odegrywał rolę towarzysza, oględnego i ostrożnego. Ona, w zapale przypinała niekiedy fantazyi skrzydła i wyrывała się w etery; on przywoływał ją na ziemię. Wytwarzały się zjad pomiędzy nimi spory długie, których rezultat bywał najczęściej ten, że racya pozostawała ostatecznie po stronie jego, droga zaś, którą do takowej dochodził, była drogą rozumowania na serwo, odmienną od tej, jakiej płeć męzka używa zazwyczaj w dyskusjach z płcią piękną. To budziło w niej ufność do niego. Towarzysz stawał się przyjacielem, przyjaciel posiadał jej wiarę—była z niego zadowolona zupełnie i wydawało się jej, że, we względzie stosunków pomiędzy nią a nim, tak jak jest pozostać może na wieki.

Nagle zaszła w niej zmiana. Nastąpiło jakieś targnięcie niby czegoś, co w organizmie jej moralnym w stanie spokoju pozostawało. Słowa matki i dziadka sprawiły w zmysłach jej i w duszy zamęt chwilowy. Padały one, jak kamienie na spokojną wodę powierzchni. Padać przestały, i spokój powrócił, lecz z odmianą na dnie powstała, wskutek pościsków. Przedstawienia matki i dziadka, insynuacje ich i sądy wywarły skutek wręcz przeciwny temu, jaki był zamierzony. Pan Kaźmirz przestał być towarzyszem, przyjacielem i przewodnikiem, a został część większą nad to wszystko: panna Helena..... pokochała.

Pokochanie jej uległo prawu kontrastów.

To co miało je zabić w zarodku, to właśnie wywołało je.

W sercu młodej dziewczyny obudziło się uczucie dwoiste: kochanki i matki.

Pierwsze nie rozumowało. Naoslep rzuciło się na przedmiot, który miał w sobie magnetyczną siłę przyciągania i oddawało się mu z góry, bezwzględnie i bezwarunkowo. Drugie rozumowało.

— Przypuszczam — szeptało w sumienia jej głębi—przypuszczam że to prawda, co mówili mama i dziadunio... przypuszczam że Kaźmirz kradzież popełnił, to co? Gdyby on był moim synem, miałabym się odwrócić od niego? On teraz podobny do tonącego syna mego! Matka, któraby się za tonącym synem w nurty nie rzuciła, nie byłaby matką! Nie!....

Monologami podobnymi przerywała sobie kiedy niekiedy pisanie.

W ciągu pisania podniosła do góry pióro, na łokciu się oparła i zamyśliła.

— Szewczuk! — odezwała się i głośno zaśmiała.—Co mnie to obchodzi? Nie przyznawał się; ale czym ja się go o to pytała? Czy on nie dostojniejszy, doskonalszy i piękniejszy człowiek od tyłu nie szewczuków? od świetnego Tadzia, na przykład?

Pisała dalej.

List jednak nie szedł jej z łatwością. Przerywała sobie często dla pomyslenia, a myśląc, odrywała się od przedmiotu i błąkała się w labiryncie, który tworzyły okoliczności potępiające i lagodzące, jakie w mnóstwie ogromnym do głowy jej się cisnęły. Przedstawiała sobie Kaźmirza w położeniach rozmaitych, raz niewinnego, znów winnego.

I rzecz dziwna: winny pociągał ją ku sobie bardziej, mocniej, wydawał się jej bowiem ciężko, śmiertelnie chorym i opuszczonym, dotkniętym zarazą morową, łaknącym, pragnącym. Opanowywała ją rzewność niewysłowiona. Opanowywała ją pragnienie bycia z nim, ogarnięcia go, osłonięcia i powiedzenia mu do ucha:

— Kocham ciebie...

— Ach! gdybym z nim pomówić mogła! Gdybym go zapytała, powiedziałby mi i wszystko wyznałby przedemną. Wyznałby...

Chodziło jej o wyznania dwojakie, pomiędzy którymi jedno blade wobec drugiego, to zaś które nie blade, nie odnosiło się bynajmniej do nazyjnika matczynego.

Idzie nam o wytłumaczenie i usprawiedliwienie uczucia panny Heleny.

„Miłość jest ślepą“—powiadają.

Powiedzenie to byłoby tłumaczeniem dostatecznym, gdyby nie zachodziły okoliczności, które pannie Orchowskiej dawały zupełną uczucia jej świadomość. Znała ona Kaźmirza blisko i dobrze. Od chwili owęj, kiedy go ujrzała po raz pierwszy, wsiadającego do wagonu, upłynęło lat siedem, które w powieści ubiegły jak chwila jedna, wręczystości atoli wlokły się dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, przez siedem zim, siedem lat i siedem wakacyj letnich i zimowych. Wakacje wszystkie nie były jak te, opisane w jednym z rozdziałów poprzednich. Franio nie zawsze zasługiwał na odosobnienie. Pod dozorem bohatera naszego zaczął się uczyć i uczył się coraz to lepiej, tak że wszystkie wakacje następne upływały dla niego wśród rozrywek, podzielanych z siostrą. Obecność Helci sprowadzała i obecność panny Moteckiej. Dwór orchowiecki zaludniał się i gwarem nabrzmiwał. Niekiedy jednak ucichał nagłe. Działo się to wówczas, kiedy pan Krzysztof organizował wycieczki, mające na celu poznanie kraju własnego. Zabierał dzieci, nauczycielkę i nauczyciela i jechał z nimi, zamiast do wód, do któregoś z miast znaczniejszych, gdzie zwiędzali zakłady naukowe, zbiory artystyczne, fabryki, pomniki, a przytém, zatrzymując się tu i owdzie, poznawali właściwości kraju pod względem topografii, etnografii, sił produkcyjnych i piękności natury. W ten sposób wdrażała się niejako w młode umysły „Pieśń o ziemi“, która potrzebę wiedzy przedstawia w uroczych obłonach poezji i za ich pomocą wabi do poznawania krajiny rodzinnej. Rodzina Orchowskich zwabić się dała za sprawą pana Krzysztofa, który w wycieczkach ciceronował młodzieży, pobudzając ją do zaciekawiania się miejscowościami i przedmiotami oglądanymi i do wysnuwania z takowych całych długich szeregów wiadomości, zbieranych na polach różnych. Każdy szczegół, nieraz najdrobniejszy, służył za podniecie bądź do gruntowania w pamięci zdarzeń, bądź też do urabiania przekonania w odniesieniu do piękna, do dobra i do użyteczności. Na przykład, przy okazji zwiędzenia biblioteki krakowskiej, wystąpiła na świat kwestya oświaty w Polsce, a przy okazji tej kwestyi odbyło się roztrząśnienie gruntowne znaczenia szkół i wpływu takowych na wychowanie. W tym razie wątku głównego dostarczyła smutna historia edukacji, pozostającej pod kierownictwem specjalnym części duchowieństwa, mającej specjalne widoki i specjalne interesa, sprzeczne częstokroć z interesami narodu. Pan Krzysztof stawiał tezy, które młodzi wędrowcy rozwijali, wychodząc z tego, co się zrobiło, a dążąc do tego, co i jak się robić było powinno. Umysły pracowały, roztrząsania wywiązywały się same przez się, spory wytaczały się, a ze sporów wynikało ściąganie się zdań, dostarczających do rozmów wątku nieskończonego. Zdarzało się nieraz, iż przerwana lub zawieszona w miesiącu czerwcu rozmowa wznawiała się w grudniu i zawięzała się na to, ażeby się jeszcze raz wznówić w czerwcu w roku następnym.

W rozmowach tych Helcia i nasz Kaźmirz zbliżali się niechętnie jedno do drugiego. Jego pociągały uroki dziewicze, bijące od niej, ją to zape-

wne, że bohater nasz, który w jej oczach z ucznia gimnazjum zmienił się w studenta uniwersytetu i ze studenta uniwersytetu w człowieka udyplomowanego, posiadał poglądy własne o rzeczach i sprawach, świadczące że w duszy jego tkwiło to, co powszechnie „Bożą iskrą“ nazywają. Kaźmirz uczył się ochoczo, umiał dużo i tego co umiał nie trzymał w głowie jak w magazynie lub w muzeum, lecz przetwarzał na własność swoją osobistą, którą tak rozrabiał, że miał dosyć dla siebie mógł jeszcze z innymi się dzielić. I dzielił się z ochotą, udzielał się kolegom, znajomym, przyjaciołom, Franiowi, wszystkim, a mianowicie podrastającej i piękniejącej w oczach jego pannie Helenie—jej mianowicie dlatego, że się ona natrętniej od innych o udział upominała.

O, jakże to często Kaźmirz wykładał zasłuchanemu dzieczęciu dzieła nauk, wykreślone z programów edukacji niewieściej!

Od jednego z poetów następujące slyszalem zdanie:

— Gdybym się rozkochał w kobiecie idealnie pięknej i dowiedział że ona anatomiją umieć, w tej chwili zniecierzyłbym ją... W kobiecie umiejącej anatomiją kochać się nie sposób, jak nie sposób róży, fijołków, konwalij na salacie przyprawiać.“

Widać więc, że nasz Kaźmirz nie zamyslał w pannie Helenie kochać się kiedy, wykładał jej bowiem nietylko anatomiją, która poezji nie zabija jeszcze stanowczo, ale i fizyologiją, wtajemniczającą w rzeczy tak straszliwe, że kiedym jej pewnej pięknie wychowanej damie rozpowiedział, to dama owa wręcz mi oświadczyła, że to nieprawda. Wykładał jej anatomiją i fizyologiją w rozmowach potocznych, które odbywały się w takich niekiedy sytuacjach, w których, na dobrą sprawę, nie gada się o rzeczach podobnych. Księżyc srebrzysty ronił blask, gwiazdy mrugały, strumyk mrucał, słowik śpiewał, kwiaty pachnęły, a on prawił o krążeniu krwi, o składzie i odnawianiu się onęj i o znaczeniu jakie posiada płyn ten w funkcjonowaniu machiny organicznej. Panna Helena słuchała, a słuchała z takim zajęciem, że nie zważała ani na księżyc, ani na gwiazdy, ani na słowika, ani na nic. Oczy przykuła do oblicza młodzieńca, opisującego weny i arterye, słuch zawiesiła na ustach jego...

Rozmowy te i tym podobne, dotykające przedmiotów różnych, powtarzały się zrazu w odstępach regularnych, później coraz to częściej i częściej, i skończyło się na tem, że ten kwiatek cudny, ta gwiazda z niebios oderwana i pod postacią dziewczęią pomiędzy ludzi puszczone, zarażiła się nawskróś anatomiją i fizyologiją, geognozyą i geologiją, antropologiją, historiją przedpotopową i innymi tym podobnymi potwornościami, a pomimo to nie uroniła nic a nic z dziewiczości swojej. Owszem, w rozwoju wdzięku swoich zyskiwała wiele, nabierając tej powagi, którą rzeźbiarze i malarze nadawać usilują geniuszom, przedstawianym zazwyczaj pod postacią niewieściej. Tak jak była, posłużyćby mogła za Beatricę nowemu jakiemu Dantemu, wziąć go za rękę i prowadzić, tylko nie do piekła, ani do nieba, lecz do muzeum, do gabinetu, do galeryi, do labiryntu, pokazując drogę, opowiadając i świecąc nakształt gwiazdy przewodniej, wzywającej nie na westchnienia, ócz zawracania, wykrzykniki i przysięgi, ale do pracy.

To też bohater nasz pracował — pracował raz dlatego, że miał wrodzony do pracy pociąg, powtóre dlatego, że potrzebował gotowym być do odpowiadania na zapytania, jakimi go panna Helena zarzucała. Skończył gimnazjum, skończył uniwersytet, wytrzymał świetnie próby wszelkie, dostał dyplom i w pracy nie ustawał.

Mieszkał razem z Franiem tak długo, póki ten pomocy jego potrzebował, co trwało lat cztery. Gdy młody Orchowski do uniwersytetu wstąpił, sam panu Krzysztofowi dalszą bytność swą wymówił, czyniąc to w sposób taki, że postawił pana Krzysztofa w niemożności udzielania mu pomocy.

— Franio mnie już nie potrzebuje—rzekl.

— W charakterze nauczyciela — była pana

Krzysztofa odpowiedź—bywają atoli wypadki, że nauczyciel staje się przyjacielem.

— Wypadek podobny nastąpić może i pomiędzy nami, jeżeli się znajdzie wspólny mianownik, który nas spoi węzłem przyjaźni.

— Czyżby się znaleźć nie miał?—zapytał pan Krzysztof.

— To zależy tak odemnie, jak od Frania. Trzeba żebyśmy się starali o to wzajemnie — odparł Kaźmirz.

Nie było co na to do odpowiedzenia. Rzecz postawiana została jasno i pan Krzysztof narzucać się nie chciał z ofiarą, która odrzuconą być mogła. Kaźmirz oglądać się zaczął za pomieszkaniem osobnym, o tyle taniem, ażeby opłacanie onego nie pochłonoło, przed ukończeniem nauk, zgromadzonych w czasie korepetytowania Franiowi oszczędności, i o tyle wygodnym, ażeby zapewniało spokój, do pracy naukowej potrzebny. Udał się w potrzebie tej do Józefa, który wciąż zajmował tę samą co dawniej połowę domku, złożoną z dwóch izb mieszkalnych i z warstaku kotlarskiego, powiększonego nieco, rozszerzonego, lecz nie przemienionego w zakład na skalę wielką, któryby znamionował powodzenie. Powiększenie i rozszerzenie oznaczało, że mu nie szło źle. Nie robił jednak interesów świętych. Nie żenił się. Czeladnik, któregośmy widzieli u niego, gdyśmy z nim po raz pierwszy znajomość zabrałi, był już majstrem na własną rękę i ojcem dwojga dzieci. Chłopak terminator wyszedł na czeladnika oddawna. On zaś kuł wciąż po staremu, nie doznając w losie zmiany, nie dlatego że los mu nie sprzyjał, ale, jak się zdaje, dlatego, że Józef nie pomagał losowi jak należy. Boć i roboty miał dosyć i partye mu się trafiały. Pierwszj czynił zadość, dobiierając w razie potrzeby czeladników; co się zaś drugich tyczy, kiedy mu powiadano:

— Bierz żonkę!.. inna zaraz powaga. Majster kawaler, to tak jak kozioł bez rogów...

— I... niechajno... —odpowiadał.—Do rogów mi się nie śpieszy. Poczekam jeszcze.

Czekał i, jak wieść głosiła, kabzę nabijał. Różni różnie o tём mówili. Jedni utrzymywali że, poprostu, kocha się w pieniądzech, składa dukaty i dobióra same nowiutkie; drudzy powiadali, że się kocha, lecz nie w pieniądzech, ale w takiej, do której bez dukatów ani przystępuj. Tę wieść ostatnią roznosili mieniący się w warstacie Józefa czeladnicy, którzy gdy tę materję w gospodarstwie poruszano, przybierali minę tajemniczą i udawali że o cze'mś wiedzą. Oczami mrugali i zaklinali się że tajemnicy nie zdradzą, a to dlatego, że co się tyczy tej, na którą majster oczy zwrócił, chodzi nie o to, czy bogata lub uboga, czy z wielkiej familii lub ze zwyczajnej, czy piękna lub brzydka, lecz o to, czy chrześcianka lub nie chrześcianka. W tём był cały sęk.

— Ot co jest...—tak kwestyą stawiano.

A że ją stawiano tak a nie inaczj, więc też i domysły, na które ludzie są tak skorzy, tworzyły się same niejako. Majstrówny na wydaniu krzywem na Józefa patrzyły okiem, dziwując się wielce i nie pojmując wcale, jak to być może, ażeby chrześcianin kochał się w niechrześcianie.

— W Żydówce zapewne!.. — powiadały ze zgrozj.

— Nie, nie podobna!.. — perswadowały sobie.

Bądź co bądź, Józef, we względzie majstrównich, których liczba spora chętnieby zapaliła sobie pochodnię hymenu z nim we spółce, zachowywał się z obojętnością lodowatą. Napróżno ojcowie zapraszali go na okazye rozmaite. Napróżno paniny pozwały przed nim rozmaicie. Głuchy na insynuacye najwprawniejsze, ślepy na wdzięki najwydatniejsze, miał słuch i oczy dla jednej tylko, a jedną tą była sąsiadka z przeciwka.

Sąsiadką tą była, niestety! Żydówka.

„Z przeciwka“ znaczy: przez sień.

Wiadomo nam, że Nuchim Bimbel w pożyciu swoim z Ryfką dużo miał dzieci.

Od czasu jakęśmy go z oczów postradali, potomstwa mu jeszcze przybyło. Pod względem tym Pan Bóg mu błogosławił. W dwóch izdebkach roilo się od wyznawców Abrahama, pći obojg,

śród których wiekiem przodowali rodzice, zaś szykiem, tonem i dystynkeyą osobliwą najstarsza z córek, czarnowłosa, czarnooka a białolica Ruchla, inaczj Rachel, jeżeli ją nazwiemy według tego brzmienia, jakie imię to posiada w polskim tłumaczeniu Biblii. Ruchla wiedziała o biblijnej swojej imiennicy i to wbijało ją w dumę, z której sprawy zdać przed sobą nie umiała. Nie to atoli tylko jedno w dumę ją wbijało. Czula w sobie coś naksztalt—przepraszam za porównanie—drożdży, co ją podnosiło, jak ciasto w dieży, i rosła, i pyszniła się, i na ludzi zgóry spoglądała, tłumacząc sobie po swojemu to wynoszenie się własne, tę arystokrację, rozkwitającą w ciasnej, ubogiej i przerażająco brudnej izdebce. Do arystokracji jednak miała prawo zupełne. Rody nasze błedną wobec rodów żydowskich, wyprowadzających się w linii prostj od narodu wybranego—wybranego przez Boga samego. Na okoliczność tę nie zwraca się uwagi, a jest-to rzecz ważna ogromnie w odniesieniu do zasady rodowej. Piszcie o tём Talmud, w którym wyraźnie napisano, że ziemia cała i dobra wszelkie należą z prawa do narodu żydowskiego, są własnością jego, wydartem mu dziedzictwem, którego dochodzić powinien środkami i sposobami wszelakimi. Ci co te dobra trzymają obecnie, są, wedle praw Bożych i jako taki przedawnieniu niepodlegających, poddani Izraela. Przemoc jest przemocą, a prawo prawem. Wychodząc z punktu tego, Żyd każdy, najbiedniejszy i najmizerniejszy, każdy lapersdak w łachmanach, oddany za życia robotwu rozmaitemu na pastwę, więcj wart od najbardziej uherbowanych wielmożów. Ruchla czula w sobie tę wyższość, a czula ją tём mocniej, że Nuchim odznaczał się biegłością w Talmudzie. Była przytём niepoślednio piękna. I ta więc okoliczność przyczyniała się niemało do podnoszenia jój w jój własnym mniemaniu. Kochała siebie.

Kochała siebie i miała dla sąsiada z przeciwka, dla goima, Józefa kotlarza, uśmiejch uprzejmy na ustach, a ile razy spotykała go na osobności, nigdy nie omieszkala rzucić mu słówka jednego, drugiego.

— Dzień dobry! albo: Dobry wieczór panu Józefowi!..

Józef odrzucał słówko odpowiednie.

— Cóż tam slychać?.. — pawiła zwykle dalej.—Pan Józef zdrów, Bogu dzięki?..

— Ot, jak mnie widzisz, jak ryba w wodzie.

Józef przemawiał do niej przez „ty“, raz dlatego, że znał ją od maleńkości, powtórę dlatego, że Żydówką była.

— Ny, a pan Kaźmirz?.. co porabia?..

— Książki wertuje.

— A czemu *wun* tak rzadko przychodzi?

— Czasu nie ma.

— A przecie mógłby przychodzić częściej trochę, gdyby ino zechciał!..

— Hm... gdyby zechciał. Jeżeli nie chce, to ja go nie zmuszę!..

— Ach panie!—nalegała dziewczyna.—Gdyby mu pan Józef słówko powiedział, toby i zmuszać nie potrzeba.

Ruchla miała zwyczaj z troskliwoścj szczególną dopytywać się o Kaźmirza, o którym Józef mówił, biorąc troskliwośc sąsiadki bądź za prostą, pći niewieścj wrodzoną ciekawośc, bądź też za prostą i wrodzoną świerzbiczkę języka, wytwarzającego potrzebę gadania byle o cze'm. Gadała o Kaźmirzu, tём lepiej. Dla kotlarza była to okazała chwalenia się bratem, w cze'm przesadzał niekiedy, podając go za wzór doskonałości i powiadając że się znajduje na drodze, prowadzającj do zaszczytów najwyższych. To ostatnie wywierało na Ruchlę wrażenie niejaki. Zapytywała zazwyczaj:

— Ny... i jakie te zaszczyty?

— Zostać może cze'm zechce; droga przed nim otwarta.

— Tylko na tej drodze pieniędzy potrzeba—odzywała się niekiedy Żydówka.

— Pieniądze przychodzą do rozumu—bywała odpowiedź Józefa.

Pomiędzy Józefem a Ruchlą nie było rozmów

innego rodzaju. Materyalu do takowych dostarczał Kaźmirz, który służył za przedmiot główny i wyłączny, jeżeli czas pozwalał na przeciągnięcie rozmowy do minut pięciu, co zdarzało się bardzo rzadko.

Był-że to romans? Miałjż majstrówny na wydaniu racyą, gniewając się na Józefa?

Kaźmirz nie obchodził ani Nuchima, który obejmował go uczuciem tej pogardy, jaką wszechia zapatrywanie się na goimów z punktu Talmudu, ani Ryfki, która na niego patrzeć nawet nie raczyła, ani żadnego z licznych członków rodziny szynkarza, z wyjątkiem jednej jedynj Ruchli, interesującj się nim od niechęcia. Powiedzieć wszakże potrzeba, że to zainteresowanie się wzrastało, gdy bohater nasz przychodził do brata w odwiedzin. Ruchlę owładał wówczas niepokój jakiś. Wybiegała do sieni, nadstawiała ucha, podsłuchiwała podedrzwiami, a jeżeli się z Kaźmirzem spotkała, pierchała jak sarna spłoszona i, gdy odchodził, ścigała okiem postać jego w ulicy tak długo, póki nie znikł.

Cóż w tём było. Analiza serca dziewiętego doprowadziłaby nas do tego wniosku, że dumna córa Izraela czula do goima ten pociąg, którego wytłumaczenie dokładne przedstawia trudność ogromną. O możliwości pociągów podobnych świadczy mocniej jeszcze kronika skandaliczna wszechświata. W Anglii, gdzie arystokracja najsiłniej stoi i najwyżej się nosi, spowszechniały wypadki wykradania się księżniczek za dżokejów i groomów. Być przeto może, że bohater nasz miał w sobie coś dla Ruchli majestatycznego, coś, co ją, na widok jego, wprawiało w niepokój, mający źródło swoje w sercowych komórkach.

Niepokój ów powtarzał się za każdym razem, gdy Kaźmirz do warstaku kotlarskiego zawitał; a bywał to mocniejszy, to słabszy. Zdarzało się niekiedy tak, że Ruchla rady sobie dać nie mogła. Możliwy ją było o opętanie posądzić, gdyby nie to, że się uspokajała prędko i powracała do zwykłego swego stanu dumnej Izraelitki, spoglądającj na świat zgóry i deptającj ziemię klapiącymi pantoflami, nieosłaniającymi pńczoch szafirowych, z których wyglądały ciekawie pięty nagie.

Powiedzieliśmy wyżej, że Kaźmirz, po rozstaniu się z Franiem, udał się do brata, w celu wyszukania sobie mieszkania, taniego i wygodnego.

Ruchla zoczyła bohatera naszego przez otwarte od sieni drzwi i taki wykonała ruch, że zwróciło to na nią uwagę Ryfki.

— *Hörste*!..—rzekła ta ostatnia.—Co ci?

— Nic... Zdawało mi się, że *puryc*, brat młodszy kotlarza, do szynku wchodzi!

Ryfka cmoknęła i odparła.

— On do szynku!.. W szynku noga jego nie postawa, i dlatego życzę mu, ażeby mu nogi pokurczyło.

— *Mame*!.. co ty powiadasz!

— Pragnę, żeby słowa moje wymówione były w dobrą godzinę i życzenie ziściło się co do słowa.

Ruchla nie odpowiedziała na to nic. Po chwili wyszła do sieni, tej co od ulicy i powróciła; następnie wyszła do sieni tej co od podwórza i powróciła; wyglądała przezedrzwi i przez okno, kręciła się, ucha nadstawiała i po upływie pół godziny doczekała się tego, że się Kaźmirz znów w sieni ukazał, w towarzystwie Józefa. Bracia rozstali się.

— Mogę więc—mówił Kaźmirz—zdać tę rzecz na ciebie zupełnie?

— Bądź spokojny. Niech cię o to głowa nie boli... Znajdzie się tu, w pobliżu!..

— Chciałbym blisko ciebie—rzekł Kaźmirz i dłoń brata uściskał na pożegnanie.

Ruchla zasłyszala wyrazy ostatnie i po chwili, szłapiąc, wysunęła się do sieni.

— Dzień dobry panu Józefowi.

— Dobrze południe chyba.—poprawił tenże.

— Niech będzie i południe, chociaż dzień liczy się od wschodu słońca do zachodu słońca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)